Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. *Niedziela, dnia 9 października 1938 r.* Nr. 41



KOBIETA

Z ROZKWITŁYM KAKTUSEM - ECHINOPSIS

ADAM CZEKALSKI

3)

Hollywood

POWIEŚĆ

Dotarcie do gałęzi drzewa zabrało mi 40 minut ,lecz wydobywanie się z topieli trwało dwie godziny! Przykre to zdarzenie nie wyleczyło mnie bynajmniej z pasji zdobywania orchidei, uczyniło mnie tylko więcej ostrożną.

— Przesądy tubylców — mówiła dalej pani Matschat — chronią niejako pewne odmiany orchidei. I tak np. żaden Meksykańczyk nie dotknie nawet kwiatu orchidei Odontoglosum, która pnie się po prostopadłej skale, gdzie na szarym tle głazu odcina się cudownie duży kwiat o kolorze krwi. Meksykanie wierzą, iż kwiaty te biorą swą barwę z krwi przelanej przez Indian, kiedy to okrutny Cortez na czele wojska hiszpańskiego podbił ich kraj. Nie tylko sami nie zrywają tych kwiatów, ale też nie pozwolą ich zrywać obcym, białym przybyszom. Trudy ze zdobyciem przeze mnie tego okazu były nie mniejsze od niebezpiecznego przebywania bagnistej drogi w Ameryce Centralnej, musiałam bowiem ukryć przed przewodnikiem cel samotnej wycieczki w góry, gdyż przyłapanie przez tubylców na gorącym uczynku zrywania krwawego kwiatu mogłoby mieć dla mnie przykre następstwa.

Inna piękna orchidea w różowo-żółtym kolorze posiada liczną armię własnych obrońców. Są nimi mrówki, gnieżdżące się w wydrążonych cebulkach kwiatu, rzucające się na napastnika za najbliższym poruszeniem rośliny. I na to fantazja Indian znalazła wytłumaczenie. Według ich podania są to dusze dzielnych wojowników i dlatego te mrówki tną tak boleśnie.

Inną jeszcze odmianą rosnącą bujnie pod ochroną miejscowego przesądu jest Oncidium papilo, biorąca nazwę od kapryśnego kształtu kwiatu, podobnego zupełnie do motyla. Legenda głosi, iż w kwiecie tym przebywa dusza pięknej księżniczki Majów, która przed wiekami czarowała wszystkich swą urodą. Rozkochawszy w sobie dzielnego księcia, płocha księżniczka rzuciła go dla innego adoratora. Rozgniewani tą niestałością bogowie, ukarali ją, zamieniając w kwiat o kształcie motyla. Dla tubylców kwiat ten ma dwojakie symboliczne znaczenie: piękności kobiecej i zmienności w uczuciach.

Legenda naprawdę piękna.

— Legendy meksykańskie są swykle bardzo piękne i pełne poezji. Ale wie pani, orchidee i tereny, na jakich one zazwyczaj wyrastają, przypominają mi zawsze świat filmu. Cały przemysł filmowy, naturalnie, tylko w moim pojęciu i tutaj, w Hollywood, wydaje mi się być jednym wielkim bagniskiem, na którym nader często wyrastają piękne kwiaty ludzkie. I trzeba też naprawdę mieć charakter i zasady, ażeby nie utknąć w tym bagnisku ludzkich namiętności i ludzkich miernot, jakich tu pełno.

— Doskonale to pani wyraziła. Ja wprawdzie nie znam jeszcze wszystkiego tutaj, całej prawdy, ale z tego, co doświadczyłam dotychczas, widzę jasno, że mąż i przyjaciele w Europie mieli bardzo dużo słuszności. Hollywood, to ogromnie błyszczący sztucznie blichtr, a ludzie nieświadomi i często zaślepieni, lecą do tego blasku, aby, jakże często, opalić skrzydła.

— Ludzie z charakterem nigdy skrzydeł nie opalą. A ja myślę, moja droga pani, że posiadasz charakter i umiesz bronić się przed wessaniem cię na dno bagniska. Nie daj się nigdy wciągnąć w trzęsawisko, ale gdybyś znalazła się w nim kiedykolwiek choćby przypadkiem, broń się, jak ja broniłam w Meksyku, kiedy brnęłam przez bagna po cudowny kwiat orchidei, wierz zawsze, że tylko cnota i uczciwość mają walor nieprzemijający na świecie, a wyjdziesz zawsze obronną ręką.

— Dziękuję pani bardzo za dobrą radę. Postaram się pójść za nią.

— Jeśli pani pozwoli, droga moja, ofiaruję ci moją przyjaźń, na którą zawsze będziesz mogła liczyć w przyszłości.

Kaja zwykle bardzo żywa i natychmiast reagująca na zjawiska życiowe, odruchowo rzuciła się w ramiona miss Cecile i uściskiem tym zawarły obie panie pakt przyjaźni.

— Ale teraz — odezwała się znowu miss Cecylia — powinnaś wrócić do siebie. Zapewne czekają tam na ciebie i może nawet szukają wszędzie.

Kaja westchnęła smutno.

— Tak mi tu dobrze u ciebie, że nie odeszłabym nigdy, gdybym nie musiała. Ale niestety, mus, to wielki pan.

— Pociesz się droga moja, że każdy człowiek na ziemi posiada takiego pana nad sobą. Nieraz nie potrzebuje go mieć, a jednak sam poddaje się pod jego władzę, nieraz jakże bardzo tyrańską.

— To prawda. Ja miałam wszystko w Europie, co może człowiekowi zapewnić szczęście, a jednak — dla chimery przyjechałam tutaj i poczynam szarpać się w tym jarzmie, które sama sobie dobrowolnie włożyłam na szyję.

Cecylia uściskała przyjaciółkę szczerze i serdecznie.

— Nie martw się, Kajo, jakoś tam damy sobie z tym jarzmem radę. Na razie weź mój samochód i każ się odwieźć do siebie. Jutro, lub też kiedykolwiek, gdy będziesz mnie potrzebowała, zadzwoń, a natychmiast się zjawię. A gdy sama zechcesz, przybywaj do mnie bez pytania. Będziesz się tu czuła wśród moich kwiatów, jak u siebie w domu w dalekiej Europie.

VI.

„GWIAZDA" URZĄDZA „PARTY"

Od ostatniego swojego pobytu na swobodzie, w czasie którego poznała sympatyczną malarkę miss Cecylię, Kaja nie miała już później prawie ani jednej chwili wolnej. Maszyna wytwórni porwała ją w swoje tryby i pchała na wyżyny sławy filmowej wprawdzie z jej wolą, ale w wielu wypadkach wbrew nieraz niej. Biuro propagandy „Blackbee-Filmu" działało teraz ze zdwojoną siłą, „make up" zamęczał ją całymi godzinami w swoim studio", sztab operatorów filmowych urządzał wielogodzinne „seanse", słowem, Kaja była tak zapracowana całymi dniami, iż zdało jej się, że któregoś dnia wieczorem, po skończonej pracy padnie pewnie bez sił na progu swojej pięknej willi i nie podniesie się więcej.

Jej nazwisko krzyczało wielocalowymi literami ze wszystkich dzienników i czasopism, jej twarz spozierała w najprzeróżniejszych pozach ze wszystkich ilustracyj. Światła neonowe, różnobarwne, wrażały w umysł Amerykanina we wszystkich miastach i miasteczkach jej nazwisko każdego wieczoru i w ciągu całej nocy, a speakerzy radiowi reklamowali ją nieustannie przy dźwiękach muzyki, rozbrzmiewającej w przerwach między jednym a drugim frazesem sławę jej głoszącym.

Ta orgia krzyków i świateł, ta reklama hucząca z dnia na dzień i z nocy na noc, przywaliła biedną Kaję całkowicie swoim ogromem, przytłoczyła ją swoim ciężarem tak, że nie mogła się z tego chaosu wrażeń długi czas otrząsnąć. Lecz wszystko to, co działo się dokoła niej dla zapewnienia jej sławy i przyszłego triumfu, nie zajmowało jej już dzisiaj tak, jak zajmowało ją na początku. Rzeczy wielkie wyrywały z niej całkowicie możność zastanawiania się nad rzeczami drobnymi, o ile nieraz milszymi dla nas; ale nader często w samotności nocnej, kiedy do sypialni jej dochodziły



Zdjęcie z emocjonujących wyścigów samochodowych we Francji, na przestrzeni Paryż—Mentlhéry. Wozy „biorą" ostrą krzywiznę.

tylko bardzo nikłe odgłosy huczącego życiem nocnym wielotysięcznego miasta, leżała długo na łóżku z otwartymi oczami przeszłości dawnej, spokojnej, miłej i kochanej, do której teraz podświadomie tęskniła. Marzyło jej się życie dawne, tak niepodobne do dzisiejszego, ale o wiele milsze i o wiele powabniejsze, do którego czy wróci — któż mógł przewidzieć.

Od czasu owej pamiętnej sprzeczki z mr. Quince'm, kierownik biura propagandy tylko bardzo rzadko nawijał się jej na oczy. Zdawało się, że po prostu unika jej, jakby w obawie, by nie spełniła swojej groźby. Ale wierny zasadzie wyznawanej w tym kraju przez wszystkich businessmanów, iż iż tylko najhuczniejsza i najgłośniejsza reklama prowadzi do zrobienia dobrego interesu, każdego dnia wymyślał nowe plotki i nieprawdopodobieństwa na temat biednej miss Kai de Rieth i puszczał je do ludzi, karmiąc nimi naiwnych snobów i otaczając Kaję chmurą najnieprawdopodobniejszych wersyj.

Przyszła „star" mieszkała już teraz we własnym pałacyku, położonym niedaleko morza w dzielnicy zwanej „Blackbee-Film City", otoczonym dużym parkiem, w którym urządzone były przepiękne kwietniki, barwne rabaty, pełne najwybredniejszego i najrzadszego kwiecia.



Na wielkie wyścigi konne Grand Prix de Paris w Longchamp przybył specjalnie z Anglii Murzyn Honolulu, sławny znawca koni. Na zdjęciu widzimy go podczas udzielania wskazówek.

nie takie wielkie, nie takie „wonderfull", ale jednak milsze i bliższe.

Z drugiej znowu strony ciekawa była swojej sławy. Chciała się dowiedzieć, jak ona się objawia, jakie wrażenia i wzruszenia przynosi, czym jest? Dotąd nie miała nawet przeczucia, jak się czuć będzie w tej swojej nowej roli, kiedy już stanie się pierwszoplanową „star" i na afiszach wszystkich kinoteatrów świata zabłyśnie jej nazwisko, a z ekranu przemówi jej głos, głos jej cienia. Dzisiaj miała zaledwie przeczucie tego, czym jest sława, gdyż nie była jeszcze sławną. To wszystko, co działo się dokoła niej, aby wysunąć ją na piedestał sławy, to były tylko przygotowania do walnej batalii, która rozegra się wtedy dopiero, gdy pierwszy film z nią, jako główną bohaterką, ukaże się na ekranach. Dzisiaj wiedziała już, że jest „fotogeniczna", że jej twarz nadaje się, jak żadna chyba inna, do „uwieczniania" na taśmie filmowej. To na razie było wszystko. Zagadnieniem, czy posiada ona jakikolwiek talent sceniczny, nie zajmował się w dalszym ciągu nikt.

W takim stanie rzeczy pewnego dnia przyszedł do niej mister Abalone, najważniejsza osoba w wytwórni, „chief instructor" — „człowiek oko". Pani Kaja lubiła

Pałacyk jej wyposażony był we wszystko, co tylko człowiekowi wykwintnemu i całkowicie współczesnemu do wygód być może potrzebnym. Byli więc lokaje, pokojowe, nawet dwa wspaniałe rasowe białe charty, z którymi kazano jej czasami odbywać długie spacery w dni wolne od pracy, aby pokazać snobom jej zamiłowanie do pięknych zwierząt i tym sposobem niejako odróżnić ją od innych gwiazd ekranu, hołdujących ekstrawagancjom w rodzaju oprowadzania po ulicach Los Angeles tresowanego lwa lub obwożenia samochodem pantery albo południowo-amerykańskiej pumy.

I Kaja spełniała te wszystkie żądania, jakie „dyspozytor" przedstawiał jej codziennie w imieniu wytwórni. Spełniała je z biernością człowieka, który tak już jest umęczony, iż nie ma nawet tyle siły, aby sprzeciwić się czemuś jednym słowem. Spełniała wszystkie polecenia jak automat nakręcony codziennie rano cudzą ręką, nie analizując tego, co robi, ani nie próbując zastanowić się, czy nawet wmyśleć w treść polecenia. Było jej to teraz tak bardzo wszystko jedno, że gotowa była spełnić każde polecenie, które nawet wydać by się mogło nieprawdopodobnym i niemożliwym.

Lecz miewała jednak i takie dni w swoim obecnym życiu, że mogła robić to, co chciała, nie pytając nikogo o zdanie czy zezwolenie. Wsiadała wtedy sama do wozu i uciekała daleko za miasto, z dala od rozgwaru i ludzi, zaszywała się tam w chaszcze i zarośla i rozpostarłszy pled w cieniu drzew, urządzała sobie najrozkoszniejszą siestę, na jaką w danych warunkach pozwolić sobie mogła. To były jej najmilsze rekreacje, bo tutaj mogła myśleć o wszystkim, co jej do mózgu wpadło, mogła czuć się wolną od jakichkolwiek nagabywań i ceremoniału, przepisanego jej tam, w domu, przez niezastąpionych ludzi z wytwórni, bo wreszcie — tutaj jedynie mogła biec myślami przez ocean, do swoich i postacie kochane wywoływać w myślach, niby zjawy najmilsze i najbardziej upragnione.

Ale kiedy zmuszona była w końcu wrócić znowu do swojego pałacyku nad brzegiem morza, często taki żal wzbierał w niej za swobodą, że gotowa była zapakować swoje najniezbędniejsze manatki i uciec do Europy, gdzie wszystko takie inne, może tego długiego, zawsze eleganckiego Amerykanina i jedynego bodajże naprawdę wykształconego człowieka w „Blackbee-Filmie". „Chief instruktor", to jedno z kółek wielkiej maszyny filmowej. Jego zadaniem jest lotna inspekcja w halach i studiach i doglądanie prac przy nakręcanych filmach. Taki pan musi znać się na wszystkim. Wejdzie do hali, stanie niespostrzeżony gdzieś w kącie obok starej dekoracji i milcząco przypatruje się pracy.

W ciągu dnia musi obejść cały teren wytwórni i być w każdej hali po kilka razy. Musi się znać na wszystkim i we wszystkich dziedzinach być specjalistą. Jeden rzut oka na „plan" musi wystarczyć do zdecydowania czy wszystko jest „o'key". Czasem „człowiek-oko" wyjdzie zza załomu dekoracji i stanąwszy w świetle jupiterów krzyknie: stop! Gasną światła — aktorzy zostają nieruchomo na miejscach, a reżyser, posłuszny jak dziecko, staje przed nim w postawie „na baczność" nieśmiały i wyczekujący. „Chief instructor" spoziera na zegarek i mówi:

— Jeżeli ta dekoracja nie zostanie „skręcona" za trzy godziny, każę ją zburzyć.



Harcerze w hełmach stalowych spełniali służbę ratowniczą podczas wielkiego pokazu lotniczego w Sztokholmie.

Głos ma stanowczy, ton prawie dyktatorski. „Oko" wytwórni zdecydowało, że reżyser się „bawi" lub cacka z danym zdjęciem i szybko wyliczyło, że to zbyt dużo kosztuje producentów. Jego rozkaz jest w studio najświętszym prawem i największy i najsławniejszy reżyser musi się do tego zastosować, co mu nakaże „chief".

Takim lotnym wywiadowcą był właśnie mister Spencer Abalone.

— Jakże się pani czuje, miss de Rieth? — zagadnął mister Spencer, przywitawszy aktorkę i zająwszy miejsce naprzeciw niej.

Kaja zrobiła smutną minę.

— Jestem przemęczona, naprawdę przemęczona. I jeżeli dalej tak pójdzie, to pewnie opadnę zupełnie z sił.

Abalone uśmiechnął się bezgłośnie.

— Czy pani wyobrażała sobie pracę w wytwórni, jako nieustanne świętowanie? Żałuję bardzo, że się pani rozczarowała.

— Cóż robić, mister Abalone, do czasu tak już musi być.

— To znaczy: jak długo?

Kaja wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, ale tak sobie myślę, że gdy mnie ten wyścig ku sławie za bardzo wyczerpie, rzucę to wszystko tutaj i wrócę do dawnego, spokojnego i sielankowego życia.

Abalone znowu uśmiechnął się tajemniczo. Milczał chwilę, wreszcie odrzekł:

— Tego pani w żadnym wypadku nie może uczynić wcześniej, dokąd wytwórnia nie wycofa sum włożonych w zrobienie z pani „star". Czy pani wie, ile nas to już kosztuje?

— Ciekawam.

— Przeszło ćwierć miliona dolarów.

— To niemożliwe.

— Przeciwnie, nie tylko możliwe, ale zupełnie realne. Jeśli pani ciekawa, każę tu przysłać książkę rachunkową, a przekona się pani sama, że taką sumę już wydaliśmy. Reklama, próbne zdjęcia, pensje, koszta pałacyku, służby i wszelkich innych wydatków pochłonęły bardzo prędko te ¼ miliona. A daleko jeszcze do końca.

— Czemuż więc, mister Abalone, nie robimy żadnych zdjęć? Przecież ja tu już znajduję się od przeszło pół roku!

— Na wszystko przyjdzie kolej. Nie można występować zbyt wcześnie, aby nie zaprzepaścić tej pracy, jaką włożyliśmy w ferowanie pani na gwiazdę i wyłożonych kosztów. Próbne zdjęcia okazały się dobre. Pani posiada wszelkie warunki zewnętrzne dla filmu, głos również jest niezły, ale do końca jeszcze daleko, jeszcze dość daleko.

— Czy pan przyszedł dzisiaj do mnie tylko w tym celu, aby mi to powiedzieć? A jeśli tak, to w jakim celu?

Twarz pana Abalone nie drgnęła nawet. Bardzo powoli wyjął papierosa, potarł zapałkę o podeszwę buta, zapalił i zaciągnąwszy się dymem, wypuścił jego kłąb na pokój. Potem przyjrzał się ciekawie, z pewnym nawet mefistofelowskim uśmiechem, zirytowanej nieco Kai.

— Nie, pani — odrzekł następnie. — Przyszedłem w zupełnie innym interesie i pragnę go z panią omówić. A jeżeli podejmowałem rozmowę na temat poprzedni, to wynikło to jedynie ze zbiegu okoliczności.

— Słucham zatem, cóż nowego ma mi pan do powiedzenia?

— Zgodnie ze zwyczajami, jakie panują we wszystkich tutejszych wytwórniach filmowych, będzie pani musiała urządzić u siebie przyjęcie dla świata filmu i niektórych przedstawicieli prasy. Przypuszczam, że jej sekretarz, pan Tear, doskonale się z tego zadania wywiąże. Poza tym jest tu także pan Night, człowiek do wszystkiego.

— Skoro obaj ci panowie mają się za mnie zająć urządzeniem przyjęcia, jakąż więc rolę mnie panowie byli uprzejmi w swej łaskawości przeznaczyć?

W głosie Kai brzmiała nuta ironii i złośliwości.

— Oczywiście, rolę pani domu.

— Czy to ma być rzetelna rola pani domu, czy tak sobie tylko, nie na serio?

Mister Abalone uśmiechnął się znowu swoim tajemniczym uśmiechem i zaciągnął się dymem papierosowym.

— Dlaczego się pani gniewa, miss de Rieth? — spytał spokojnie po chwili.

— Chyba mam do tego dostateczne powody. Odkąd znalazłam się w rękach panów, nie mam w niczym własnej woli. Stałam się automatem, który tylko wykonywać ma pewne zlecenia, nie myśląc o niczym. Przeciwko takiej biernej roli muszę w tym miejscu przynajmniej zaprotestować. Nie jestem wychowana na bierne narzędzie, jestem człowiekiem, który myśli i pragnie również sam o swoim losie w pewnych wypadkach decydować.

— Czyż my ograniczamy panią w czymkolwiek?

— Ach, nie! Przeciwnie, pozwalacie mi panowie na tyle swobody, że doprawdy nie wiem, co z nią zrobić! Dlatego nudzę się śmiertelnie, spleen zjada mnie po kawałku z dnia na dzień, a gdy wieczorem wracam do siebie do domu, nie mogę o własnych siłach na schody nawet wejść.

— Miss de Rieth, proszę się łaskawie uspokoić i nie przejmować sprawami tak drobnymi. Widzi pani, droga miss de Rieth, droga do sławy, do miana gwiazdy filmowej, jest niesłychanie uciążliwa i ciężka. I jeżeli ktokolwiek, oglądając artystkę filmową, głośną, sławną na świat cały, na filmie, myśli o niej, jako o kobiecie, która ma na zawołanie wszystkie rozkosze ziemi, ten myli się z gruntu. Praca w wytwórni filmowej, to praca ogromnie ciężka i ogromnie wyczerpująca. Prawda, jest ona opłacana bardzo wysoko, prawie milionami dolarów, ale też w zamian tego każda wytwórnia domaga się od opłacanego przez siebie człowieka, aby maksimum swych sił i zdolności oddał wytwórni. Niechże pani zrozumie jedno: do Hollywood nie przyjeżdża nikt na dobry kontrakt dla przyjemności. Nie przyjechała też i pani tutaj po to. Wszakże w pierwszych trzech miesiącach otrzymała pani 10 tysięcy miesięcznie, teraz dostaje pani po 25 tysięcy, a po nakręceniu filmu będzie pani otrzymywała po 50 tysięcy. Gdzież indziej na świecie zarobiłaby pani podobną sumę? Czy pani zdaje sobie sprawę z tego, że to wyniesie 600 tysięcy dolarów rocznie? I druga sprawa: wytwórnia już wyrzuciła ćwierć miliona na panią, a zanim dojdziemy do tego, że będziemy mogli z dumą powiedzieć: „zrobiliśmy z miss de Rieth star" — wydamy okrągły milion. Tak, pani nas będzie kosztowała okrągły milion dolarów. Czyż znajdzie się na globie ziemskim człowiek tak naiwny, który by wydał milion dolarów na próżno? Nie! Proszę zatem nie winić i nas, że pragnąc zrobić z pani „star" pierwszej wielkości, nie robimy tego dla fantazji, ale dla doskonale obliczonych zysków w przyszłości. Z tych przyczyn, kochana miss de Rieth, niechże nam pani nie przeszkadza, nie narzeka, nie stawia warunków ta-

kich, których nie moglibyśmy wypełnić. Rozumiem, że dzisiejsze życie pani, w porównaniu z życiem przeszłym, nie należy do wesołych, ale i to przeminie. Po nakręceniu pierwszego filmu będzie pani miała czas wypocząć. Dostanie pani urlop, pojedzie sobie na Florydę, a tam wypocząć można, i jak nigdzie na świecie.

Głos „oka" wytwórni, w miarę wygłaszania tych rad, brzmiał coraz cieplej i coraz łagodniej, prawie ojcowsko. I Kaja wyczuła w nim tę nutę ciepła, łagodności i jakby niejako troski o jej przyszłość i przyszłość milionów wytwórni, gdyż bunt, jaki w niej podnosił się jeszcze przed paru minutami, zaczął uciszać się i układać gdzieś tam na dnie jej duszy. Odrzekła więc na tę tyradę mr. Abalone'a prawie łagodnie:

— Być może, ma pan rację, ale mnie chwilami tak bardzo ciężko tutaj bywa, tak bardzo ciężko...

— To minie, zaręczam, że minie. Proszę mi wierzyć, że podobny stan duchowy przeżywa w pierwszym okresie swojego pobytu tutaj prawie każda nowa artystka europejska. Odmienność warunków pracy, inny system, czasem i nadmiar tej pracy, sprowadzają na człowieka uczucie wyczerpania, przepracowania i pustki. Lecz to przejdzie, na pewno przejdzie...

Kaja westchnęła tylko boleśnie.

— Było by dobrze, ażeby pani wyszukała sobie gdzieś jakiego przyjaciela, przyjaciółkę, słowem człowieka godnego i odpowiadającego poziomem umysłowym pani. Trzeba sobie stworzyć dom, prawdziwy dom na stałe i nie myśleć o odlocie w połowie drogi. Bo taki odlot jest niemożliwy na razie.

— Postaram się, może znajdę... — odrzekła Kaja i jednocześnie pomyślała o miss Cecile, której od tak dawna już nie widziała.

— Tak, tak, proszę pomyśleć o tym. Zawsze przecież zostaje pani coś wolnego dnia, który poświęcić można własnemu życiu w odosobnieniu... No, ale wracam do zasadniczego tematu. Przyjęcie urządzić musi pani koniecznie. To będzie wstępem do przyszłych pani triumfów. Wszelkimi sprawami gospodarczymi „party" zajmą się Tear i Might. Jutro pani przyślę spis ludzi, którzy powinni znaleźć się w salonach pani. Od siebie poda pani tylko te osoby, które pragnęłaby tutaj również widzieć.

— Dobrze — odrzekła krótko Kaja.

A gdy „oko" wytwórni wyszedł, zadzwoniła natychmiast do miss Cecile i zaprosiła ją do siebie na kwadrans rozmowy. Na szczęście, malarka była u siebie, co w ostatnim czasie nader rzadko się zdarzało, gdyż pasja zdobywania coraz to nowych okazów orchidei porwała ją znowu i pchnęła na bagna i oparzeliska amerykańskie. Przybyła też na wezwanie przyjaciółki niezwłocznie własnym wspaniałym wozem, który sama zwykła była prowadzić.

— Jakże się czujesz, droga moja? — powitała Kaję malarka. — Czy maszyna filmowa nie zmiażdżyła cię jeszcze.

— Jak widzisz, kochana, trzymam się jakoś, ale ile mnie to kosztuje nerwów, samozaparcia i poświęcenia, trudno mi wypowiedzieć po prostu.

— Nie martw się maleńka, życie ludzkie nigdy nie ściele się po różach, a droga do sławy bywa zazwyczaj bardzo ciernista i nierówna. No, ale cóż ci tak bardzo aktualnie doskwiera? Nie widziałam cię dawno, nie słyszałam dawno twoich słów, jestem więc ciekawa przebiegu twoich przygód w tej dżungli filmowej.

— Daruj kochana, ale obecnie jestem tak bardzo zapracowana, że wprost upadam pod brzemieniem pracy. Zaprosiłam cię zaś dzisiaj dlatego, bo „nakazano" mi urządzić „party". Naturalnie, to tak się tylko nazywa, że przyjęcie to ja urządzam, gdyż w gruncie rzeczy ja będę spełniała tylko bierną rolę figurantki, która będzie patronowała temu przyjęciu.

— To naturalne. Pociesz się, że w tym mieście iluzji i złudy przyjęcia gwiazd i gwiazdeczek filmowych nie w inny sposób się odbywają.

Ciężkie westchnienie dobyło się z piersi Kai. Malarka uśmiechnęła się tylko i objąwszy młodą kobietę ramieniem, poprowadziła ją do okna i wskazała ręką horyzont.

— Patrz, jaki wspaniały widok! Słońce kona gdzieś daleko za górami, ale jego



Wczoraj

Jeszcze wczoraj kwitły moje ciche kwiaty,
Dziś je noc zmroziła, zdarła barwne szaty.
Jesień chłodna przyszła na opamiętanie,
Rozwiać marzeń kręgi i zniszczyć kochanie.

Jeszcze wczoraj chciałam rzec ci dobre słowa,
Lecz dziś już nie mogę: zmarła pieszczot mowa...

Wczoraj jeszcze drżały moje kwietne pęki,
Dziś pomarły ciche od dumek udręki...
Nie odżyją jutro, choć słońce powstanie,
Bo jesień przyniosła kres i pożegnanie.

Tina Krasnowska.

ostatnie promienie kładą się na morzu, opalizują go, a chwilami jakby zamieniają w jedno wielkie morze roztopionego złota. Gdybyś miała nieco więcej wolnego czasu, mogłabyś namalować piękny obraz, nie wychodząc krokiem, ale patrząc tylko z tego tu okna.

Kaja spojrzała w wskazanym jej kierunku i rzeczywiście zdumiała się olśniewającym wprost widokiem, jaki wywołało zachodzące słońce. Nigdy dotąd nie zwróciła na to zjawisko większej uwagi, bo, prawdą a Bogiem, nie miała nawet na to czasu. Teraz jednak widok ten olśnił ją naprawdę. Wpatrzyła się tedy weń, twarz jej się powlokła zadumą smutną, oczy przygasły nieco, a myśl pobiegła w dal siną i tajemniczą, ku swoim, bliskim i kochanym.

Z zadumy tej zbudził ją dopiero głos malarki.

— O czym myślisz, Kaju?

— O swoich — odrzekła na pół szeptem. — Kiedyś, kiedy mieszkałam czas jakiś z mężem w Kongo, pewnego razu widziałam podobny zachód słońca. Byłam nim zachwycona, tym więcej zachwycona, bo szczęśliwa, a dzisiaj...

Malarka przygarnęła ją mocniej do siebie.

— Czy mąż nic do ciebie nie pisze? — zagadnęła po chwili.

— Nic. Pisałam do niego kilka razy, ale nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Żal mi go, kochana, ale nie mniej żal i siebie samej. Jaki sens był porzucać ciche szczęście dla tego tygla, w którym pocę się codziennie, niby w ukropie?

— Wykonałaś lot w nieznane.

— Jeszcze nie, jeszcze nie...

Kaja spojrzała na przyjaciółkę wzrokiem pytającym.

— Czy cię to dziwi? Wszakże jeszcze nie doszłaś do mety nieznanego. Ale jeśli wytrwasz, będziesz tam niezawodnie. Ostatecznie, nie ma się czemu dziwić, że wybrałaś taką drogę życia, jaką wybrałaś. Świat iluzji pociągał ludzkość zawsze, od prapoczątków jej istnienia, a film, to największa iluzja, jaka istniała kiedykolwiek na świecie. I ten świat porwał cię, oszołomił i zdobył dla siebie.

— Dzisiaj tego żałuję.

— Jeszcze za wcześnie, jeszcze stanowczo za wcześnie. Ucieczka w połowie walki, to dezercja, która nigdzie na świecie uznania nie znajdzie. Ty musisz wytrwać i zwyciężyć, ale musisz posiadać wolę zwycięstwa i musisz posiadać charakter i zasady. Człowiek bez zasad jest bardzo marnym człowiekiem, a człowiek bez charakteru, to słabeusz i nicpotem. Trwaj i walcz, skoroś tu się już znalazła, ale nie daj się nigdy sprowadzić na manowce, nie daj się omamić blichtrowi. Jesteś piękna i gdy tylko pokażesz się na filmie, podbijesz ludzi, podbijesz rodzaj męski. Wtedy musisz okazać się godną miana człowieka i czuwać na każdym kroku, bo też na każdym kroku czyhać na ciebie będzie niebezpieczeństwo... Powiadasz, że kochasz męża. To dobrze. Ta miłość będzie ci puklerzem, który w niejednej walce bardzo się przyda.

Obie panie przyszły do gustownej kanapki w rogu pokoju i usiadłszy tutaj, długi czas jeszcze wiodły taką pogwarkę, w końcu, kiedy na rozkaz Kai podano podwieczorek, zabrały się do niego i odmieniwszy temat, jęły rozmawiać o mającym się odbyć przyjęciu w salonach miss de Rieth.

— Zobaczysz tu u siebie bardzo ciekawych i wcale nieciekawych osobników rodzaju ludzkiego — informowała malarka.

— Nie wiem, kogo ci tam do zaproszenia przedstawią jutro panowie z wytwórni, ale spodziewam się, że na liście znajdą się najpierwsze nazwiska aktorek i aktorów filmowych.

— Spodziewam się jednak, kochana, że ty przecież mnie nie opuścisz, ale również zechcesz znaleźć się u mnie?

— Najchętniej, droga moja, o ile sprawi ci to choćby tylko odrobinę przyjemności.

— Bez ciebie czułabym się tu bardzo obco i dziko po prostu.

Malarka uśmiechnęła się, pokazując w tym uśmiechu dwa rzędy pięknych, perłowych ząbków.

— A jakże z suknią, czy już wybrałaś? — spytała miss Cecile po krótkiej pauzie.

— Ach, Boże, właśnie pragnęłam poradzić się ciebie w tej tak ważnej, jak mi się wydaje, sprawie i zapomniałam zupełnie o tym. Otóż, kochana Cecile, nie mam jeszcze żadnej odpowiedniej toalety, a spodziewam się, że moi goście wystąpią szumnie i dwornie.

— I nie mylisz się. Toalety pań, jakie znajdą się w twoich salonach, warte będą majątku. Musisz zatem i ty zaprezentować się godnie, aby się nie narazić na cichą, lecz złośliwą krytykę nadobnych „stars".

— Cóż mi zatem radzisz?

— Musimy coś wybrać, zastanowić się, naradzić...

I obie panie, zwróciwszy znowu rozmowę na inny temat, pogrążyły się w nim po uszy. Kwestia sukni, w jakiej Kaja miała wystąpić na „party", stała się kwestią prawie naczelną całego przyjęcia. W końcu postanowiły, że miss Cecile zastanowi się jeszcze sama nad tym ważnym zagadnieniem i skomponuje coś nowego i odmiennego od wszelkich kreacyj znanych.

Późnym wieczorem dopiero przyjaciółki rozeszły się, obiecawszy sobie spotkać się znowu nazajutrz, aby ostatecznie omówić toaletę dla Kai.

VII.

„PARTY"

W dniu oznaczonym na przyjęcie, punktualnie o określonej godzinie przed pałacyk Kai zaczęły zajeżdżać limuzyny o najmodniejszych liniach i najwymyślniejszych kolorach, przywożące gości.

W wielkim przedpokoju, mogącym z powodzeniem stanowić wykwintny salon, pełnym zieleni, kwiecia i zapachów, mister Tear, osobisty sekretarz przyszłej gwiazdy filmowej, przyjmował gości, a armia lokajów kręciła się bezszelestnie, odbierając nakrycia i wprowadzając gości do salonów, gdzie już wszystko urządzone było na przyjęcie gwiazd, gwiazdeczek i gwiazdorów.

Nie było wśród nich pierwszoplanowych nazwisk, których rodowód wyrecytować potrafi każdy kinomaniak na świecie, ale znajdowali się tu ludzie, których nazwiska dość głośne były w Stanach i całej prawie Ameryce. „Wielkie" gwiazdy, acz zaproszone na „party", nie raczyły przybyć, albowiem miss Kaja de Rieth nie była jeszcze pełnowartościową „star", lecz dopiero lansowaną przy pomocy najhałaśliwszej reklamy.

W głównym salonie Kaja, w towarzystwie malarki miss Cecylii i w otoczeniu pana Abalone'a, Growe'a, dra Lanstowna, reżyserów i gromady współpracowników wytwórni, przyjmowała i witała „miłych" gości. Ubrana w suknię, której całość tworzyła wspaniały kwiat orchidei, wyglądała nie tylko bardzo uroczo i pociągająco, ale tak pięknie, iż mimo woli wszystkie oczy ludzi tutaj zgromadzonych zwracały się na nią z podziwem i zazdrością. Jej głowa, wspaniale uczesana przez pierwszorzędnych fachowców fryzjerskich wyłaniała się z misternych koronek, jak głowa legendarnej księżniczki Maiów z kwiecia orchidei. Uśmiech nie schodził z jej ust, ale trudno było dociec, czy to był uśmiech zadowolenia, czy też ironii. W każdym razie, dzisiaj, jak może nigdy dotąd, czuła się panią w swoim domu, a chociaż jej powaga wydać się mogła niejednemu bardzo surowa i zimna, przecież tak była ujmująca, że nie można było mieć za to do niej żalu.

Witała się uprzejmie na lewo i prawo, rzucała zdania oderwane, często zdawkowe tylko, uśmiechała się, a chwilami słuchała uwag, szeptanych za jej plecami przez pana Abalone.

„Oko" wytwórni, ukryty dyskretnie w cieniu przyszłej gwiazdy i pani Cecylii, powtarzał nieustannie informacje o rozmaitych osobnikach, którzy wchodzili na salę.

— Oto May Barclome, zwana słowikiem. Pierwszorzędna gwiazda, sławna i bogata, ale nieoszlifowana. Jej język bywa czasem straszny. Posiada szramę na lewym policzku i pozwala się zdejmować tylko jednemu operatorowi, Teddy Tetzlaffowi, bo jemu jednemu ufa, że potrafi zatuszować jej bliznę i zrobić ją niewidoczną na zdjęciu... Roland, „star" wytwórni „Columbia" — od dłuższego czasu strajkuje z powodu żądania podwyżki. Nie przyjmuje ról i nie otrzymuje honorarium... Tam dalej, obok Ray Landon widzi pani piękną Lanę Turner, nieco za nią z tyłu w niebieskiej toalecie „blue Wallis" — Jean Maker. Niech jej się pani dobrze przyjrzy. Nikt dotąd o niej nic nie wie, nigdy nie widzieliśmy jej nazwiska wypisanego neonami. Proszę jej się przypatrzeć uważnie. Warto! To jest przyszła gwiazda. Za rok będzie pani sama chodziła na filmy z tą niepozorną blondynką. Za rok mała Jean Maker — będzie gwiazdą... Ooo, mała Maho wchodzi, przedstawicielka mórz południowych. Z nią Dorota Razner, najlepszy reżyser kobiecego rodzaju, opłacany nierównie wielkimi sumami, jak pierwszoplanowe gwiazdy. Ostatnim jej filmem jest świetna komedia filmowa z Joan Lomford w roli głównej „Naczona".

Mister Abalone zamilkł na chwilę, przywitał się z kimś na boku i znowu przysunął się do obu pań, szepcząc swoje informacje o wchodzących raz po raz do sali kobietach, po chwili zaś przeszedł do mężczyzn. Było ich tu wielu. Obok sławnych „gwiazdorów", których sława mierzyła się tysiącami i setkami tysięcy honorarium, wielu było zgoła nieznanych, o których świat filmowy nic nie wiedział dotąd, ale o których zapewne dowie się wcześniej lub później.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)



Na pokładzie przybyłego do Kłajpedy statku Litwini odtwarzają w oryginalnych strojach ludowych jeden ze swych tańców narodowych.

ROBERT GOFFIN

KAROLINA
CESARZOWA MEKSYKU

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁA
IRENA MACIEJEWSKA

VXI.

Karolina ma 27 lat; panowała zaledwie osiemnaście miesięcy, a po powrocie do Europy przeżyła wiele tragicznych chwil. Zima 1866 roku przyniosła jej trudne do rozwiązania powikłane zagadnienia, jedno wydarzenie pociągało za sobą drugie; wstrząsy, których doznała, musiały wywrzeć złowrogi wpływ na jej ustrój nerwowy, zbyt silne przeżycia zachwiały umysłem.

Karolina zwolna opada na dno obłędu. Coraz częściej zdarzają się chwile zupełnej niepoczytalności i bezładnego rozumowania. Jedna tylko świadoma myśl wypływa z odmętu nieświadomości: obawa przed trucizną. Dusza jej wzniesie się ponad znikome wydarzenia codzienności i będzie trwała w swym nierealnym świecie, w którym nie ma miejsca na małostki. Wkrótce nic już ją nie będzie łączyło z przyziemnymi sprawami, zwykłe prawa ludzkie nie będą miały nad nią władzy, zaś prawo boskie uczyni ją cesarzową państwa nieświadomości, oddzieloną od podłości świata nieprzebytym murem.

Jednym z objawów nienormalnego stanu cesarzowej jest jej uparty wstręt do obrządków religijnych. Ta, która była wychowana ściśle według wskazań religii katolickiej, która tworzyła zasady swego życia na ideach Bourdaloue i Bossueta, wyparła się całkowicie swej wiary, już nawet w tym okresie, kiedy jej bratowa, królowa Maria Henryka, uważała ją za zupełnie normalną. Obawa przed trucizną jest w niej tak silna, iż wzbrania jej przyjmowania komunii, co wprawia w niesłychane zdumienie całe jej otoczenie, usiłujące nadaremnie zwalczyć ten niezrozumiały dla nikogo odruch.

Karolina jest zupełnie osamotniona w swym więzieniu w Miramar, nikt nie może jej zrozumieć, nikt nie jest w stanie pojąć pobudek jej postępowania. By zbadać istotę jej tajemnicy należało by powiązać wszystkie ogniwa łańcucha wydarzeń. Nikt nie jest jednak w stanie tego uczynić, bowiem jedynym człowiekiem, który wiedział o wszystkim, była nieżyjąca już Matylda Doblinger. Karolina zwolna odchodzi w swój mroczny świat, nie ma już dla niej ratunku, nikt jej nie da pomocy, wszyscy się od niej odwrócili, wszyscy ją prześladują, lepiej więc odsunąć się od nikczemności padołu ziemskiego, wznieść się ponad ludzką małość i zostać już tylko cesarzową w cesarstwie swego ducha.

Nic to nie obchodzi tych, którzy jej nie zrozumieli. Tym gorzej dla nich, tym gorzej dla egoistów bez serca, dla tych, co żyją z religii zamiast żyć dla religii; monarchowie, królowie, papieże — wszyscy ją oszukali, wydrwili, poniżyli. Nikt z nich nie zrozumiał wielkiej misji, w której powinni byli współdziałać — tym gorzej dla nich! Idea dynastyczna jest skazana na zagładę w Ameryce, dobrze, niechże tak będzie, ale pociągnie to za sobą upadek wielu tronów w Europie.

Co uczynią suwereni starego świata, gdy zawyje huragan; gdzie schronią swe drżące, słabe ciała w których płynie krew skażona międzyrodzinnymi związkami małżeńskimi?

Drzwi są zamknięte na mocne zamki, za nimi słychać szmer głosów zaprzedańców Wiednia. Cesarzowa chciałaby otworzyć okno, by odetchnąć wolnością, by choć przez chwilę być bliżej nieba i ziemi. Lśniący słonecznym blaskiem wiosenny poranek błękitnieje na wodach morza Śródziemnego. Srebrzyste mewy muskają skrzydłami grzbiet fal. W alejach parku krąży tajemniczo hrabia Bombelles. Czy znowu coś spiskuje przeciw Karolinie? Cesarzowa nie może otworzyć okna, zabitego od zewnątrz hakami i gwoździami. Ach, więc i okna są na zawsze zatrzaśnięte! Nie będzie mogła już nigdy się stąd wydostać! Przez całą wieczność pozostanie w tym zimnym, ponurym pokoju! W pamięci Karoliny przesuwa się wspomnienie księcia Reichstadtu. Nikt jej stąd nie zabierze! Co robi Maksymilian, dlaczego nie przychodzi jej ratować? Karolina wpada w szał gniewu, szarpie zamkniętymi drzwiami i głośno krzyczy. Bij pięściami o mur. Szmer głosów w przyległym pokoju milknie.

Otwórzcie, otwórzcie, jestem cesarzową Meksyku! Rozkazuję wam wypuścić mnie na wolność! Nie macie prawa mnie zatrzymywać. Jestem księżniczką belgijską, jestem córką Koburgów! Na pomoc, na pomoc! Gdzie jest papież Pius IX i Napoleon III i Ludwik II i arcyksiążę Karol Ludwik, który tak bardzo mnie kochał. Dlaczego Elżbieta pozwala mnie więzić? Chcę abyście powiedzieli o tym mej szwagierce Sisi, ona przyjdzie, przyjdzie z pewnością, przecież tak lubiła mnie! Lecz ani słowa Franciszkowi Józefowi, ani słowa Bombellowi, ani słowa w Belgii, nie trzeba, aby wiedzieli o mej męczarni, ani słowa Piusowi IX i Napoleonowi III, którzy mnie zdradzili; ani słowa Maksymilianowi, memu ukochanemu mężowi, nie trzeba, aby wiedział o tych niegodziwościach.

Tak! Tak! O niegodziwościach, o podłościach, o całej tej ohydzie i nikczemności, która spadnie na głowy winnych. Bóg musi mnie pomścić, zanim mnie zawezwie przed swe oblicze. Wszyscy muszą być surowo ukarani! Precz ze zdrajcami! Hańba Franciszkowi Józefowi, Napoleonowi i Piusowi IX, hańba tym niecnym winowajcom. Muszą oni ponieść odpowiednią karę! Oznajmiam wam, iż wkrótce wybije godzina sprawiedliwości! Wy, szpiedzy, dozorcy mego więzienia, powiedzcie Piusowi IX, iż będzie gorzko żałował tego co uczynił, wkrótce i on zostanie uwięziony i utraci swą władzę świecką; powiedzcie Napoleonowi III, iż dozna wiele strapień rodzinnych, wiele trosk majątkowych i państwowych, wiele cierpień cielesnych; powiedzcie zwłaszcza waszemu panu, Franciszkowi Józefowi, iż nic nie zostanie mu zaoszczędzone: sprawiedliwy Bóg zniszczy jego państwa, obali imperium, zrówna jego rodzinę z innymi śmiertelnikami i niechże cesarz pamięta, iż za krew płaci się krwią. Powiedzcie cesarzowym, że nie powinny były pozwolić na to, by mi odebrano, by mi zamordowano mego syna; niechże teraz drżą o swych synów, przekleństwo wisi nad nimi, nie unikną sprawiedliwego gniewu niebios...

Z dzikim spojrzeniem, z pianą na ustach, Karolina wykrzykuje swe proroctwa, wreszcie pada nieprzytomna na ziemię. Przerażeni dozorcy otwierają drzwi i widzą nieruchomo leżące ciało. Nadbiega Bombelles. Wezwano psychiatrę Riedela. Nadworni szpiedzy powtarzają złorzeczenia cesarzowej i Bombelles smutnie kiwa głową: „Biedna Karolina! Nie ma najmniejszej wątpliwości, iż jest obłąkana". A Riedel dodaje: „Widzę się zmuszony oświadczyć, iż jest nieuleczalnie chora i powinna być bacznej strzeżona".

Zamyka się drzwi na podwójny zamek i stwarza się jeszcze ściślejszą kontrolę.

W lipcu 1867 roku dwór belgijski, który już kilkakrotnie domagał się uwolnienia Karoliny, decyduje się na ostateczny krok. Królowa Maria Henryka, oburzona postępowaniem dworu wiedeńskiego, udaje się osobiście do Hofburgu. Prasa szeroko się rozpisuje o wspaniałym przyjęciu, zgotowanym dla królowej Belgii przez cesarza Austrii. Królowa pragnie natychmiast wyjechać do Miramar, by od-

wiedzić swą szwagierkę. Franciszek Józef zasłania się orzeczeniem lekarzy, iż groźny stan Karoliny nie pozwala na widywanie jej przez nikogo. Stała się podobno nieznośna w obejściu, opryskliwa i uparta, poddając się zaleconej kuracji tylko wówczas, gdy się jej mówi, iż musi być posłuszna zarządzeniom Maksymiliana.

Pertraktacje trwają kilka dni; 11 lipca Franciszek Józef przedstawia królowej świadectwo lekarza Ijecka z dnia poprzedniego, potwierdzające formalnie chorobę Karoliny.

Królowa Maria Henryka nie ustępuje jednak i oświadcza, iż nie zastosuje się do wskazań lekarzy. Cesarz, widząc, iż nie zdoła przeciwstawić się królewskiej woli, zgadza się wreszcie, lecz zobowiązuje królową do zachowania warunków umowy, to jest do utrzymania po wszystkie czasy tajemnicy urodzenia i królewskiego pochodzenia syna Karoliny.

12 lipca o godzinie siódmej rano, Franciszek Józef odprowadza swego dostojnego gościa na Południowy Dworzec.

13 lipca następuje pierwsze zetknięcie z Karoliną, w czasie którego królowa stwierdza jej normalny stan; nic zdaje się nie wskazywać na chorobę umysłową. Prasa wiedeńska na rozkaz Hofburgu, rozprzestrzenia w tym czasie fałszywą wiadomość, iż Karolina za namową królowej odmawia przyjmowania posiłków. Ambasador belgijski w Wiedniu donosi w swym raporcie, iż misja Marii Henryki jest bardzo nieprzychylnie komentowana przez stolicę.

Tymczasem świta królowej poczyniła odpowiednie kroki. Baron Goffinet otrzymał szczegółowe zlecenia i zostało zdecydowane, by w razie oporu porwać chorą, nie stosując się do żadnych zakazów. Specjalny pociąg będzie oczekiwał w Mantui w ciągu 10 dni, chodzi bowiem o to, aby nie stracić ani jednej chwili.

Wynikają nieskończone dyskusje między baronem Goffinet a hrabią Bombelles, który co dzień posyła raporty do Franciszka Józefa; cesarz, obawiając się rozgłosu lub skandalu, mogącego uwłaczać jego honorowi, zgadza się w dniu 30 lipca na uwolnienie Karoliny i uroczyście ogłasza, iż Jej Królewska Mość Maria Henryka wraz ze swą szwagierką opuszcza w dniu dzisiejszym Triest.

Cesarzowa Karolina jest wreszcie wolna i powraca do Belgii, gdzie zajmą się nią bardziej ludzkie serca. Dziesięć miesięcy tortur wycisnęło na niej straszliwe piętno.

Promień światła na ponurą tajemnicę Miramaru rzucają ówczesne pisma wiedeńskie, które rozpowszechniają tendencyjne pogłoski, iż Karolina nie poznała królowej, gdyż w czasie pierwszego z nią spotkania była w stanie całkowitej prostracji, wymagającej ustawicznej opieki lekarskiej. W przeciwieństwie do tych pogłosek, wiadomym jest, iż towarzyszący królowej doktór Bulkens, dyrektor szpitala dla umysłowo chorych w Gheel, po długim i dokładnym zbadaniu Karoliny, orzekł, że cesarzowa może bez żadnego niebezpieczeństwa dla zdrowia odbyć podróż do Belgii.

Trzech lekarzy wiedeńskich, na oczywisty rozkaz Franciszka Józefa, po konsultacji w dniu 17 lipca sprzeciwia się temu, sporządzając oświadczenie, iż zrzucają z siebie całkowitą odpowiedzialność za stan zdrowia cesarzowej w razie jej wyjazdu. Prasa wiedeńska posuwa się nawet do twierdzenia, iż Karolina, czując się doskonale w Miramar, napisała w dniu 16 lipca do królowej Marii Henryki list z podziękowaniem za jej wizytę, prosząc równocześnie o dalsze nieodwiedzanie jej.

Co słowo, to kłamstwo!

Po przyjeździe do Belgii, Karolina zamieszkała w pałacu Tervueren pod Brukselą, otoczonym prześlicznym parkiem, zbiegającym rozległymi trawnikami ku brzegom stawów. Stan jej zdrowia uległ wybitnej poprawie, budząc nadzieję rychłego wyzdrowienia. Powróciła świadomość wydarzeń. Cesarzowa mówi o Meksyku, o Chapultepec i oczekuje wiadomości od swego ukochanego Maksymiliana.

Dalsze ukrywanie przed nią prawdy staje się niemożliwe i wkrótce sekretarz poselstwa belgijskiego w Meksyku, według jednych, zaś arcybiskup Malinu według drugich, zostaje upoważniony do zapoznania Karoliny z tragicznym finałem cesarstwa meksykańskiego.

19 lutego Maksymilian ufortyfikował się ze swą armią w Queretaro, skąd w ciągu dwóch miesięcy odparł zwycięsko przeszło dwadzieścia ataków nieprzyjacielskich, bijąc znacznie większe siły Juareza. Oblężenie miasta trwa już dłuższy czas, głód daje się we znaki oblężonym, cesarz nawet otrzymuje już tylko przepisową rację żywnościową. 14 maja zdrada generała Lopeza ułatwia nieprzyjacielowi wejście do miasta, oddając w ręce Juareza całą załogę. Cesarz zostaje uwięziony i strącony do podziemi klasztoru Kapucynów. Następują dni pełne udręki i jakiejś podniosłej egzaltacji. Cesarz, trawiony chorobą, duszący się w ohydnym lochu bez powietrza, który przez asocjację myśli przypomina mu podziemia Kapucynów w Wiedniu, gdzie śpią snem wiecznym wszyscy Habsburgowie, daje niezwykłe dowody wielkości ducha.

Przyjaciele podsuwają kilkakrotnie Maksymilianowi plany ucieczki, lecz on odmawia dumnie, nie chcąc splamić swego honoru niegodnym cesarza postępkiem. W obliczu śmierci budzi się w nim wysokie poczucie dostojeństwa i odwagi, oczyszczające jego pamięć z zarzutów słabości i chwiejności charakteru.

Pewnego wieczora wszystko jest przygotowane, ucieczka obmyślona w najdrobniejszych szczegółach, za kilka godzin cesarz może być w stolicy i będzie uratowany, trzeba tylko, aby ogolił brodę dla niepoznaki. Maksymilian zastanawia się kilka chwil, wreszcie oświadcza, iż cesarzowi nie przystoi się maskować dla uratowania życia i zostaje w swym ponurym więzieniu, obezwładniony reumatyzmem i ciężko chory.

Generał Lopez, który wydał miasto nieprzyjacielowi, wstawia się osobiście za cesarzem u przywódcy wojsk powstańczych, generał Escobedo, ofiarowując dwa tysiące uncji złota jako okup za życie Maksymiliana.

W ostatniej chwili Escobedo żąda poręczenia, podpisanego przez przedstawicieli mocarstw Europy, ci jednak nie chcą się do niczego zobowiązywać i cesarz pozostaje w ciemnym lochu.

Księżna de Salm-Salm, której mąż walczył u boku cesarza, zabiega u okrutnego generała indyjskiego o zwolnienie Maksymiliana z tym, iż cesarz wyjedzie natychmiast do Europy. Księżna opisuje w swych pamiętnikach te niezwykłe chwile swego życia. Odważna kobieta, po skończeniu wojny secesyjnej, w czasie której nie odstępowała swego męża, przybyła z nim do Meksyku, towarzysząc mu wszędzie w jego marszach. Gdy dowiedziała się o uwięzieniu Maksymiliana w Queretaro, postanowiła zwrócić się do Juareza z prośbą o ułaskawienie i w tym celu udała się konno do San Luis Potosi. Zatrzymana kilkakrotnie w drodze przez oddziały powstańców, zmuszona była zawrócić, a dowiedziawszy się, iż Queretaro zostało zajęte przez generała Escobedo, w mniemaniu, iż zdoła uzyskać od niego to, czego Juarez z pewnością by jej nie odmówił, pogalopowała przez góry i doliny w kierunku Queretaro. Wkrótce piękna awanturnica dotarła do generała Escobedo, jednak, przy pomocy uśmiechów i zalotnych spojrzeń, zdołała uzyskać tylko przeniesienie cesarza do lepszej celi.

Do Queretaro przybyli liczni adwokaci, by na zlecenie ambasadorów i konsulów różnych państw europejskich, bronić sprawy cesarza, zaś księżna de Salm-Salm, nie ustając ze strony w dalszych zabiegach, zebrała odpowiednią sumę na przekupienie

Ciąg dalszy na str. 813.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

GDY LECĄ LIŚCIE...

Muzo! Przyjdź do mnie w poranek jesieni —
przynieś mi w darze serca swego skarby...
Pójdziesz wśród przymgleń złotych i promieni,
nim drzewa nagie swe ukażą garby...

O drzewa! — ja żyłem z wami i płakałem
z wami —
w Boskiej Przyrodzie — nikt mi nie był obojętny.
Dziś lecą znów liście — świat idzie w cień
z duchami —
przepychu skosztowałem lata — dziś odchodzę
smętny.

Zbigniew Wicherek.

DOBRE RADY PANI ZOFII

Z POWODU...

„To - ja". Odpowiadam na Pani pierwszy list. W międzyczasie została już Pani przyjętą do „Rodzinki", z powodu srogiego monitu, nadesłanego mi niedawno.

Wierszyk pod tytułem „Jesień" dałam Wujkowi Januszowi do oceny — proszę cierpliwie czekać na jego list w teczce, przeznaczony dla Pani.

Całuję Panią serdecznie i zamieszczam apel:

„Wyciągam szczerze dłoń do tych, którzy kochają piękno, a tęsknię za dobrocią i ciepłem rodzinnym. Starsza jestem od wszystkich milusich „Brzydulek", „Konwalijek" i „Różyczek" — a jednak i mimo, że życie nie oszczędziło mi ciężkich doświadczeń, zachowa tam w duszy promyki nadziei, że przecież kiedyś wyciągną się do mnie szczere, przyjazne dłonie... chociaż z oddali.

Czy znajdę je w naszej „Krainie?" Kto prześle mi parę, dobrych, przyjaznych słów i zechce nawiązać ze mną korespondencję?

P. J. Baranowskiemu mam wielką ochotę przesłać w odpowiedzi na jego „Pierwsze ściernisko" swój własny wierszyk: „Jesień" — naturalnie, oddając go wpierw pod ostrą, surową krytykę „Wujaszka Janusza" i aprobatę Pani i... chyba nie cofnę, chociaż refleksje przychodzą...

Długi, serdeczny uścisk dłoni „łączę dla wszystkich!"

DZIĘKUJĘ!

„Kazimierz Juniszyc". Dziękuję Panu za miłe słowa pod moim adresem. Listy przesłałam na właściwe adresy, a fotografia Pana była już reprodukowana w „Krainie".

Życzę Panu powodzenia w nauce i przedrukowuję pseudonimy:

„Jagódka leśna". Czyż otrzymasz list ode mnie! Jeśli tak, to dlaczego milczysz?

Ślę moc serdecznych pozdrowień „Dziewczynce z zaczarowanego młyna", „Wesołej różyczce", „Mary z Gdyni", „Zarii", „Steni Ślicznotce", „Banialuce", „Leśnej jagódce" i „Szarym oczętom"!

„Szare oczęta" — dlaczego nie piszą? Pozdrawiam „Sentymentalną Rusałkę".

SERDECZNIE WSPÓŁCZUJĘ!

„Dziewczę z ludu II." Współczuję Ci serdecznie, Dziecino, z powodu ciosu, jaki Cię dotknął. Nie przejmuj się jednak zbyt mocno, bo Najwyższy wie dobrze, co czyni i w tym wypadku zadecydował również słusznie.

Pisz dużo — może korespondencja rozproszy smutek i da Ci ukojenie.

„Szczere pozdrowienia zasyła: wszystkim sympatykom i sympatyczkom „Krainy", a przede wszystkim swojej imienniczce w pseudonimie. Ktoś Ty Dziewczynko — chciałabym z Tobą korespondować! „Podchorążemu z Grudziądza", „Uśmiechowi", „Solidnemu" i „Jagódce" — Najserdeczniejsze pozdrowienia!

MASZ DOBRY HUMOR

„Zo z Płocka". Widzę z Twego listu, że na codzień i na niedzielę masz dobry humor, a nawet chwilami wpadasz w lekko łobuzerski ton. Dobrze Ci się powodzi — prawda? Cieszę się, Dziecko, i baw życiem póki się tylko da, póki Ci ono ostrych kłów nie pokaże!

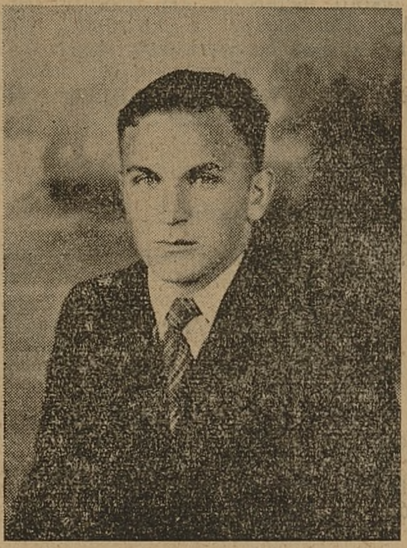
Sprawę pism zleciłam administracji do załatwienia.

Pozdrawiam Cię mile i zamieszczam komunikaty:

„Brzydka i smutna Irka". Jesteś w moim guście. Byłabym szczęśliwa, gdybyś raczyła — „skrobnąć" parę słów do mnie. Odpowiem — żelazo — beton. Polegaj, jak „na zawiasach" P. Czekalskiego i „Młodego Orła" pozdrawiam b. „serdecznie". Machnijcie do mnie parę słów „wszyscy", którzy chcecie.

Łodzianki, napiszcie „coś"! Wybieram się do tego miasta wkrótce, może się zobaczymy!?

Dla „Całej „Rodzinki" stosy pozdrowień".



„Złoty jaśmin" przesyła nam pozdrowienia.

FOTOGRAFIĘ ZAMIESZCZAM

„Sympatyczny Hebi". Przyjmuję Pana do naszego grona i zamieszczam nadesłaną mi fotografię.

Życzę Panu dużo przyjemności we współżyciu z nami i przesyłam miły uścisk!

„Czołem Krainiacy i Krainianki!

Zechciejcie mnie przyjąć — podobno jestem strasznie miłym chłopcem. Napiszcie cośkolwiek do mnie, odpowiedź na pewno! Mój adres: „Sympatyczny Hebi" Krokowo pow. morski „Poste restante".

Kto ma ochotę ze mną korespondować — proszę o adres na łamach „Krainki" napiszę. Pozdrawiam wszystkich!

POCHWAŁA JESIENI...

Piękną jest jesień życia...
kto pojmie ją... kto zrozumie...
srebrnymi nitkami myśli
trwa we mnie w swojej zadumie. —

Piękną jest jesień życia...
i w darach przebogata...
kto tylko potrafi ocenić
gasnący urok lata...

Na naszej wspólnej drodze
stanęła cicha jesień...
mgłą nasze serca tuli,
jak zapomnieniem —
wrzesień.

Na naszej wspólnej drodze
wieczorne płyną już cienie —
wiatr opadł w brzozy przydrożne
serca twojego... westchnieniem!

Podaj mi dłoń.
Przed nami —
wicher zawieje z dróg niesie...
Idziemy życiu naprzeciw —
ty... ja i nasza jesień...

Józef Baranowski.

PRZEDSTAWIAM

„Czaruszka" i „Sasinka". Przedstawiam „Rodzince" dwie nowe sympatyczki:

„Czaruszka", to średniego wzrostu szatynka, o dużych, lśniących oczach. Lubi marzyć.

W ostatnim czasie doszła do wniosku, że otrzymywanie listów od miłych „Krainiaków" będzie wielką przyjemnością.

W tej też myśli daje apel do „Krainy" i czeka na odzew.

Echo tego odzewu wróci do Was rychło. Więc piszcie do „Czaruszki".

Halo! „Don — Juanie" — ktoś odwzajemnia Ci pozdrowienia i prosi o list, a odpowiedź będzie podwójna. Dlaczego? Dowiesz się, o ile napiszesz.

„Sasinka", to również miłe dziewczątko, które bardzo pragnie znaleźć towarzyszkę spacerów w Poznaniu.

Listy prosi kierować na poste-restante — Poznań 1, dla „Sasinki".

W SPRAWIE KURSU

P. M. G. — N. Dziękuję Pani za tak szczere zainteresowanie się sprawą „Chochlika" (poniżej przedrukowuję Pani list) i podaję, że rzeczywiście zaszła pomyłka — miejscowość ta brzmi: „Nacpolsk."

Pozdrawiam serdecznie i czekam na nowy list!

„W ostatnim Nr. „Moich Powieści" „Chochlik" z „Krainy szczerości" zwraca się z apelem do czytelników w sprawie kursu pocztowego i podaję bezpośredni adres taki: Kierowniczka agencji poczt. telegr. Macpolsk. Nie wiem, czy zaszła pomyłka w druku, czyteż jest to pseudonim, ponieważ pracuję na poczcie i w spisie naszym nie istnieje taka placówka pocztowa, ani nawet o miejscowość nie mogę się dopytać. Napisałam list pod tym adresem, lecz nie mogę go na razie wysłać. Wobec tego prosiłabym uprzejmie Łaskawą Panią, o zawiadomienie „Chochlika", by podała właściwą nazwę i ponadto bliższy adres, województwo, powiat... lub szlak kolejowy, bo inaczej wszystko na nic!...

Z góry bardzo uprzejmie dziękuję i załączam dla kochanej Pani moc serdecznych pozdrowień!"

LIST OTWARTY DO SZANOWNYCH CZYTELNICZEK „MOICH POWIEŚCI"

Nie wiem, czy znajdą się Czytelniczki, którym jest niedobrze na świecie, które z bólem i rozczarowaniem patrzą na swoje życie, które się czują nieszczęś.iwe. Bo ja do tych właściwie piszę. Chcę zejść pomiędzy nie i szukać „odpowiednika". Tak! Bo inaczej nie można! Jesteś nieszczęśliwy, nie chodź pomiędzy zadowolonych, szczęśliwych. Nie! Tam ciebie nie zrozumieją. Mulford, amerykański filozof- twierdzi, że może tylko istnieć jedna, jedyna kobieta dla mężczyzny, — jemu tylko odpowiadająca i nikomu więcej. Ja to poczynam uważać za słuszne. Mimo moich 30 lat, chodzę jak samotny wędrowiec po niekończącej się pustyni. Już w zwątpieniu myślę, czy czasem ten mój „odpowiednik" już według Mulforda nie jest w zaświatach, albo dopiero przyjdzie długo, długo po mnie jako istota fizyczna. Ach, jakie to straszne.

A ja się czuję tak bardzo nieszczęśliwy. Nie wiem, może ta moja marzycielska dusza nie może sobie znaleźć form bytu w tym, co ją otacza. To wszystko takie obce, takie wrogie nawet. Mnie trzeba było być dawno, dawno, choćby wtedy ,kiedy żyli jaskiniowcy! Bo ta dzisiejsza cywi izacja mnie przygniata! Mój ideał to życie na łonie natury — bez gonitwy za bogactwem, za zamożnością nawet. I chcę go tu w kraju zrealizować. Starczy mi na domek i działkę ziemi w lesistej i wodnej okolicy. Będę tam prowadził romantyczne życie Robinsona. I byłbym szczęśliwy, gdybym w tym zakątku znalazł swój „odpowiednik" ,w każdym calu tak myślący, jak ja. Czekam choćby na jedną, jedyną odpowiedź jakiejś zapalonej, a nieszczęśliwej marzycielki.

„Marzyciel Mulforda."

ABY UDOWODNIĆ!

„Hrabia Monte Christo". Przyjmuję dziś Pana oficjalnie do grona „Rodzinki" i aby udowodnić „Krainiakom", jak bardzo zależy Ci na nich, przedrukowuję część Twego listu:

„Wierzę, że pod Pani skrzydłami, w gronie wiernych i oddanych krainiackich serc, będę czuł się dobrze, i że pod wpływem tego odnajdę drogę do labiryntu złocistego szczęścia... Już teraz czuję się duchowym członkiem tego grona, związanym z „Krainą" wspólnymi ideałami, wspólnymi celami, jednakową myślą przewodnią, — czuję się istotną cząstką tego związku dusz i serc.

Nie zawiodę „Krainy" i postaram się być idealnym „krainiakiem" — macie na to moje słowo! —

Czas upływa, wolno mijają dni — czekam z utęsknieniem na odpowiedź na łamach „Krainy". Co tydzień z drżeniem serca przewracam kartki „Moich Powieści" — nie ma... się pocieszam się nadzieją, że może na następny tydzień, w następnym numerze!...

A może to kara? — kara za to że nie przyjechałem na zjazd do Żnina? Droga Pani Zosieńko! Bardzo przepraszam, ale naprawdę nie mogłem być obecnym... byłem za to z Wami sercem, byłem z Wami w Żninie duchem, przeżywałem tutaj, w Poznaniu, godziny zjazdu tak, jakbym był tam z Wami! A tak bardzo, naprawdę bardzo chciałem cieszyć i weselić się z całą „Rodzinką", przybyłą na zjazd — niestety!...

Na następny rok na pewno, na pewno będę na zjeździe...

Droga Pani! Bardzo mi przykro i smutno że nie mogłym osobiście podziękować Pani za przyjęcie mnie do „Krainy"", za wprowadzenie do mego serca tylu jasnych, ciepłych promieni — smutno mi, że nie mogłem z nadmiaru wdzięczności ucałować rączek Drogiej Pani, lecz stało się, trudno!...

Nie byłem na zjeździe, bo nie mogłem... los chciał widocznie inaczej. Nie mogłem podziękowań złożyć osobiście, więc z tego miejsca dziękuję bardzo, dziękuję sercem Droga Pani Zosieńko, dziękuję gorąco za to szczęście promienne!

Może słowa tego listu są nieudolne, może treść źle wypowiedziana — proszę mi wybaczyć, lecz nie forma zewnętrzna, nie piękne zestawienia słów mają prawdziwą wartość. Nie zawsze można wiernie odmalować martwymi literami stan uczucia...

Chciałbym jeszcze dużo, dużo pisać, lecz muszę poczekać do chwili, aż wśród wierszy „Krainy" ukaże się moja oficjalna „nominacja" na członka „Rodzinki" — przyjęcie do szeregów „Krainy" „Hrabiego Monte Christo". Wtedy dopiero będę mógł dać upust słowom, będę mógł rozmawiać z przyjaciółmi po przyjacielsku. Wtedy będzie mi wolno — teraz jeszcze nie.

Lecz nim się to stanie, jedną mam jeszcze prośbę: proszę wyrazić ode mnie szczere słowa uznania panu Józefowi Baranowskiemu za jego piękne utwory. Czytałem także jego wiersz p.t. „Wielkie Pomorze" w jednym z czasopism poznańskich. Czołem! — kolego Baranowski i gratuluję!...

Kończąc przesyłam Drogiej Pani Zofii, Wujkowi Januszowi i całej „Kraince"" serdeczne pozdrowienia. Braci harcerskiej, zrzeszonej w „Rodzince"", ślę nasze piękne, harcerskie „Czuwaj"!

ODPOWIEDZIAŁAM

„Podolanka". Na zapytanie w sprawie ogłoszeń odpowiedziałam już Pani listem prywatnym. Naturalnie, że nie zniechęciła mnie Pani tym, iż w pierwszym swoim liście do mnie zwróciłaś się z prośbą — było mi bardzo przyjemnie ją (prośbę) wykonać.

A teraz przystępuję do przedrukowania słów Twych, odnoszących się do „Krainy":

„Studiując pilnie każdy egzemplarz „Moich Powieści" — widzę, ile to „dzieci" posiada „Rodzina" — zazdrość mnie porywa! — więc i ja garnę się pod opiekuńcze skrzydła Kochanej Pani Zofii. Czy przygarnie mnie Pani? — Ależ, na chwilę nie wątpię! Chociaż jestem tak daleko od Was — bo aż na odległych krańcach Polski naszej — na Podolu — wierzę jednak, że wszystkie przesądy o nas, „Galileuszach", nie będą miały tu żadnego znaczenia, że znajdę wśród Was trochę ciepła „rodzinnego". Prawda?



Oto „Wiejskie Dziewczę" w stroju ludowym.

Teraz zaprezentuję się: — Otóż jestem niewiastą po dwudziestce, — ukończyłam sem. naucz. i jak wszystkie, które urodziły się bez czepka, nie mam posady. To jednak (dotychczas) nie psuje mi mego dobrego humoru.

„Hallo! — Taki jeden wesoły łobuz, który jest trochę samotny, prosi, aby ktoś z „Rodziny" skrobnął do niej. Lubię bardzo towarzystwo, interesuje mnie wszystko, co piękne. Resztę powiem temu, kto będzie ciekaw. (Serce bije rekord niepokoju, czy znajdzie się ktoś taki!). „Amerykanin" i „Alchemik" podobają mi się ze sposobu wyrażania swych myśli — (muszą być tęgie łobuzy). — Jeśli macie kapkę wolnego czasu, zaprawcie ją szczyptą dobrych chęci i napiszcie do mnie". —

KIEDY CISZA JEST DOKOŁA...

Kiedy cisza jest dokoła
wielka cisza w krąg —
głos mię wtedy jakiś woła,
co idzie z tych łąk.

Kiedy wszystko drzemie w ciszy,
i ludzie śpią w krąg —
tego głosu nikt nie słyszy,
co płynie z tych łąk.

Głosu tego tajemnego,
co w powietrzu drży...
i do serca wnika mego
z ócz wyciska łzy...

Chociaż cichy, ale mocny
i wdzięczny to głos,
który pośród głuszy nocnej
do mnie płynie z ros.

Lśni na niebie gwiazda drżąca
na przeczystym tle...
Głos o struny duszy trąca
i nastraja je.

Zapominam, czym jest życie,
Co cierpienie, ból...
i głos łowię ten w zachwycie,
co idzie z tych pól.

Eleonora Klidzia.

CZEKAM!

„Waldy". Czytam w tej oto chwili list Twój, w którym niesłychanie buńczucznie zapowiadasz swój udział w zjeździe. Czytam i uśmiecham się trochę drwiąco — znam ja Wasz słomiany (jak to ludzie mówią) zapał, Moje Dzieci, a choćbym nawet dotąd nie znała, to poznałam go doskonale, dzięki właśnie niedawnemu zjazdowi. Zgłaszały się dziesiątki, a przyjechała drobna część zaledwie. No, nie ma tak dalece czym się przejmować, bo z góry wiedziałam, że obietnice przyjazdu z najdalszych nawet krańców Polski muszą się skończyć, jak się zaczęły, to znaczy na obietnicach.

Zaczynam wątpić i w Twój projektowany wyjazd za granicę. Jak się już raz przekonam, o czyjejś niepewności, trudno mi się potem doń nawrócić! Ale to nic, sympatii przez to nie straciłam dla Ciebie, jak zresztą nie straciłam jej dla masy moich wszystkich innych niesłownych pupilków!.

Czekam na nowy list i ślę Ci mocny uścisk dłoni!

A teraz komunikaty:

„Bajko"! napisz parę słów, a chętnie Cię odwiedzę. Mam już maszynę taką, jaka Ci się podobała w P..., warto się przejechać. Ściskam Ci, Iruś, łapki. — Halszko! Wkrótce będę u pp. Włodka serdecznie pozdrawiam!

BARDZO BYŁABYM SZCZĘŚLIWA

„Ślązaczka". Piszesz mi, że bardzo byłabyś szczęśliwa, gdybym nie odmówiła Ci przyjęcia do „Krainy". Otóż chętnie spełniam Twą prośbę, tym chętniej, że spełnienie jej ma być przyczynkiem do owego szczęścia. Zadowolona będę, gdy to się stanie w istocie!

Słyszeliście, Mili „Krainiacy", czym możecie spełnić dobry uczynek? Zatem nie zwlekajcie długo, lecz bierzcie się żwawo do pisania miłych, dobrych listów dla „Ślązaczki"!

Pozdrawiam Cię i przesyłam życzliwy uśmiech!

ODMIANY

Widzisz, jak się te życie nasze dziwnie zmienia —
Myśli się odmieniają odpływem codziennym.
I zmieniają się nawet niegdyś czułe brzmienia
Pod tym niebem tak smutnym i tak zawsze
zmiennym.

Jeszcze wczoraj dla ciebie był ktoś drogi, miły...
Dzisiaj wiatr powiał inny, gwałtowny, jak burza.
Serdeczność twa runęła, jak marność bez siły,
i zamiast jasnej toni — została kałuża.

Ha, cóż! Życie ludzkie zmienia się co chwila.
Odmienia się uczucie, myśl, marzenie, wszystko!
Pryska miłość, wspomnienie, przepada idylla
i człowiek znowu pełza przy ziemi — tak nisko...

Przecież to takie ludzkie i tak dobrze znane,
więc się temu nie dziwię, bo i nie ma czemu!
Wszystko to od początku już było zełgane —
więc proszę i ty również nie dziwuj się temu.

Tak, to stać się musiało. Ha, cóż — trudna rada!
Miłość nagle prysnęła, jak bańka mydlana,
bo była anemiczna, schorowana, blada —
zatem musiała prysnąć, niby bańka szklana.

I dlatego nie wierzcie w miłość, co dojrzewa
jak kwiatuszek, w doniczce, stojący na oknie.
Taka miłość promieni swoich nie rozsiewa,
ale przy lada zmianie bezpowrotnie niknie.

Adam Czekalski.

SPEŁNIAM ŻYCZENIA

„S. p. 1. Sydney". List Pana otrzymałam i spełniam zawarte w nim życzenia. Przede wszystkim wysłałam ów list na wskazany adres. Poniżej zamieszczę komunikaty, a wpierw jeszcze zapytuję uprzejmie, dlaczego pisze Pan tak mało w swoich iście urzędowych listach?

Z przyjemnością odpowiadam Panu w mojej „Krainie", może z tym większą, że znam Go jeszcze z czasów szkolnych. A tak!

A teraz posyłam Panu życzliwy uśmiech i przedrukowuję komunikaty:

Moc miłych pozdrowień zasyłam dla P. J. H. ze Strzybnicy, „Ar", „Małej Gwiazdeczki", „Zosi J. z Pomorza", Alo — „Złote Słoneczko z B". — przyjm pozdrowienia! Do Bydgoszczy wstąpię po powrotnej mej podróży z Wystawy Radiowej w Warszawie.

NIE ZNASZ!...

„Maruszka znad Obry". Z miłą chęcią przyjmuję Panią do „Krainy" i życzę, abyś znalazła w niej szereg osób naprawdę Ci sympatycznych, jeżeli już nie poddanych.

Nie mogłaś otrzymać mej odpowiedzi zaraz w następnym numerze „Moich Powieści", ponieważ to było niemożliwe, choćby z przyczyn czysto technicznych. Ale skąd mogła Pani to wiedzieć, wszak nie znasz pracy redakcyjnej.

Pozdrawiam Cię serdecznie i przechodzę do komunikatów:

„Wołyniaku" — przyjm moc serdecznych pozdrowień i proszę nie zapomnieć o kimś dalekim!

Dla całej „Krainki" moc pozdrowień z prośbą o liściki!".

Z DNIEM DZISIEJSZYM

„Złoty jaśmin". Więc Pan żyje w małej mieścinie, gdzie świat jest deskami zabity? Rozumiem to doskonale i nie dziwię się, że tak żarliwie prosisz o przyjęcie do naszej „Rodzinki". Z dniem dzisiejszym stajesz się jej oficjalnym członkiem i postaraj się nie sprawić nam zawodu, ani żadnej innej przykrości. zdążyłeś to już zapewne zauważyć.

Fotografię Twoją daję w bieżącym num. —

Nie wątpię, że znajdziesz w naszym gronie życzliwych przyjaciół i że dobrze Ci będzie w tej nowozdobytej „Rodzince".

Posyłam miłe pozdrowienie i czekam na nowy list!

Teczka wuja Janusza

KONIEC LATA

Żółkłe nadzieje,
liść szeleszczący — —
Patrz!... Wiatr się śmieje
z ich smutku,
co płynie drżący
w dal... powolutku...

Patrz!... Koniec lata — — —
Przeszło — — — powróci,
teraz ulata,
jesień cię smuci...

Patrz!... Słońce płacze
krwawym zachodem —
Listki tułacze
płyną... i płyną...
tan dziki wiodą,
w dali gdzieś giną — — —

Poznań, 1938.

Tadeusz Multański.

W WIERSZYKACH JEST POLOT

„Edek“. Z nadesłanych mi wierszyków Pana wyciągnąłem wniosek, że ma Pan polot, poetycki. Zdolności Pana zainteresowały mnie bardzo, przeto proszę Go o nadesłanie większej liczby utworów. Przypuszczam, że wówczas — będę mógł ostatecznie zorientować się, czy ma Pan przed sobą przyszłość, jako poeta, czy też nie!

Pozdrawiam Pana serdecznie i niecierpliwie oczekuję nowego „transportu“ wierszyków!

NIE PRZESĄDZAM!

„Maleńka Reri“. Wierszyk p. t. „Tęsknota“ nie jest jeszcze dojrzały do druku, ale przesądzać Twych zdolności wierszowania jeszcze nie chcę.

Nadmieniła mi p. Zofia, że masz jeszcze dużo innych gotowych już wierszyków — nadeślij mi je proszę, a wówczas powiem coś konkretniejszego na temat Twoich poetyckich płodów.

Pozdrawiam Cię uśmiechem życzliwym i szczerym!

ZAJMIESZ MIEJSCE POCZESNE

„Siboney“. Cieszy mnie niewymownie, że jest Pani według Jej własnych słów — cichą wielbicielką „Moich Powieści“, a także „Krainy“, do której ma Pani nawet w najbliższym czasie zgłosić swój akces. Co zaś do miejsca w mojej „Teczce“, to tak mi się zdaje, że będzie ono wcale poczesne. Na razie zdążyłem tylko dość pobieżnie przeglądnąć nadesłane przez Panią wierszyki, a już wybrałem z nich poniższy do druku. Resztę ocenię później.

Zasyłam przyjazne słowa i czekam na nowe wiersze!

WIECZORNA GODZINA

Szarą wieczorną godziną
Budzi się we mnie tęsknota...
Za czymś nieznanym, dalekim...
A słodkim jak matki pieszczota.

I nie wiem, co bym wtedy dała,
Za jeden szczęścia łut,
Za jeden błysk radości,
I za spełnionych marzeń cud.

W wieczorną szarą godzinę,
Wyrywa się dusza szalona,
Gdzieś w jakieś przepastne dale...
I zwolna..... znów kona...

Czy znasz ty pragnień konanie?...
Gdy wszystko w gruzy się wali,
Gdy serce umiera z bólu,
A w oku gorzka łza pali?...

„Siboney“.

ŹLE Z RYTMEM!

„Kalina“. Z ostatnich wierszy, wręczonych mi przez p. Zofię do oceny, przeznaczyłem do druku ten zatytułowany „Dlaczego?“

Dwa dalsze, mianowicie „Dawniej, a dziś“ i „E. J. poświęcam“‘ — słabe, nawet bardzo słabe; Koniecznie proszę więcej pracować nad wydobyciem dobrego rytmu i ponadto obierać mniej banalne tematy.

Sądzę, że moje życzliwe rady nie będą zlekceważone i niecierpliwie oczekuję dobrego wyniku.

DLACZEGO?

Ja nie wiem czasem dlaczego
dziwnie mi przykro i smutno,
że chciałabym wstrzymać w biegu
pęd taśmy życia okrutny.

Ja nie wiem czasem dlaczego
mą duszę rozpacz oplata.
Nie pragnę wtedy niczego,
tylko ucieczki od świata.

Ja także nie wiem dlaczego
łzy płyną czasem z mych oczu,
choć brak powodu do tego —
same z pod powiek się tłoczą.

I wreszcie nie wiem dlaczego
do serca lęk się zakrada,
gdy brak mi kogoś bliskiego,
komu zaufać bym rada!

„Kalina“.

DESZCZOWA MELODIA

Deszcz cichutko, beznamiętnie
kropelkami w szyby dzwoni,
...a na duszy coraz smętniej,
a na duszy wciąż żałośniej...
i deszcz szemrze coraz głośniej.
Kropla kroplę szybciej goni —
i pocichu i powoli
potężnieje to, co boli,
i w bolesne struny trąca
smuga deszczu, wciąż dzwoniąca...
i porywa tęsknot moc
deszcz, co pada dzień i noc...

Danuta Albrycht.

PRZESTROGA

Nigdy, choć nawet żagle burza rwie
i przyjdzie marnie zginąć —
nigdy wśród burzy nie mów: Nie!
Staraj się dzielnie wypłynąć. —

Gdy los Cię batem ostro tnie;
niech kark Twój się nie zegnie,
nawet pod batem nie mów: Nie!
a wróg Twój w hańbie legnie. —

Choć przyjacielskie pęknie koło
i zgaśnie stos przyjaźni —
po świecie wielkim spójrz wesoło,
a czuć się będziesz raźniej! —

Helena Podhalicz - Melnykowa.

Dni Mickiewiczowskie
w Nowogródku

W czasie od dnia 11 do 22 września br. odbywały się w Nowogródku „Dni Mickiewiczowskie“.

W pierwszym dniu, po uroczystym nabożeństwie w kościele farnym, odbyło się poświęcenie Muzeum Pamiątek po Adamie Mickiewiczu w rodzinnym dworku poety, a następnie otwarcie wystawy regionalnej województwa nowogródzkiego w nowo wybudowanym gmachu Bazaru Przemysłu Ludowego w Nowogródku. Fragmenty tych uroczystości były zradiofonizowane i nadane przez rozgłośnię wileńską w dniu 12 września.

W ciągu tych paru dni przybyło do Nowogródka kilkanaście wycieczek pozamiejscowych z całej Polski. Najliczniejsze były wycieczki z Sosnowca, Katowic i Kielc; bardzo interesująca wycieczka ze Stołpc, przybyła na rowerach w liczbie ponad 70 osób. Przybycie tej wycieczki oceniano dodatnio również i ze względów sportowych.

Dnia 14 bm. odbył się „Dzień Świtezi“ w formie szeregu atrakcyj nad jeziorem Świteź, gdzie pociągnęły liczne rzesze turystów i miejscowego społeczeństwa. W dniu 16 września, był w Nowogródku wileński Teatr Miejski, który urządził „Wieczór Mickiewiczowski“, wystawiając szereg fragmentów scenicznych arcydzieł Adama Mickiewicza.

Dworek Mickiewiczowski
w Nowogródku

Miejsca, na których przebywali niegdyś wielcy ludzie owiane są zawsze jakimś nieuchwytnym poetyckim urokiem, z chwilą ich śmierci, pamięć i cześć dla tych miejsc nie tylko nie ginie, lecz z czasem jeszcze większą zyskuje powagę i szacunek w następnych pokoleniach.

Taką to czcią i szacunkiem cieszy się licznie odwiedzany dziś przez turystów dom Mickiewiczów w Nowogródku, znany powszechnie pod mianem „Dworku Mickiewiczowskiego“.

Znajduje się on w starej dzielnicy Racewia przy zbiegu ulic: Mickiewicza i Municypalnej, otoczony gęstym pierścieniem drzew.

Pomimo, że dawna posiadłość Mickiewiczów znajduje się w śródmieściu — biały murowany dom wraz z oficyną i obszernym dziedzińcem, wygląda raczej na posiadłość wiejską. Aleja, wiodąca do dworku, wysadzona jest bujnie rozrośniętymi krzewami, a białe słupki murowane otaczające posesję, składają się na całość harmonijną.

Dworek ten przechodził rozmaite koleje. Plac, gdzie się wznoszą obecnie domostwa, został nabyty w r. 1803 przez ojca poety Mikołaja Mickiewicza od niejakiego Felicjana Wolskiego.

Plac — własność Mickiewiczów — wynosił wówczas zaledwie jedną trzecią część obecnej posesji. (Jeden kawałek ziemi od ul. Mickiewicza został dokupiony przez późniejszych właścicieli Bijołtów w roku 1857, drugi od Racewli, dokupił w r. 1887 Antoni Dąbrowski, ojciec obecnego właściciela.)

W chwili nabycia placu, znajdowały się na nim rumowiska starych fundamentów i piwnica. Ustalić datę kiedy Mikołaj Mickiewicz zbudował dom na tym rumowisku jest trudno z braku dokumentów. Wiemy tyle, że dom ten w r. 1807 spłonął w pożarze miasta. Opisując dom poety, Edward Chłopicki mówi, że dom murowany wybudował Mickiewiczom jeden z aptekarzy nowogródzkich, przy czym na pokrycie kosztów budowy, wziął go na pewną ilość lat w bezpłatną dzierżawę.

Ignacy Domejko w liście do Bohdana Zaleskiego pisał, że dom rodziców Adama był piękny, „najlepszy w całym miasteczku, gdzie tylko klasztory i kościoły były murowane“.

Dworek ten z dziedzińcem od ulicy, obsadzony topolami, miał typowy polski ganek, oparty na kolumienkach. Otóż w tym dworku nowogródzkim Adam Mickiewicz spędził w gronie rodzinnym swoje młodzieńcze, najpiękniejsze lata. Z domku tego, pod skrzydłem macierzyńskiej opieki uczęszczał nasz poeta do szkoły dominikańskiej. W godzinach wolnych od nauk młody Adam spraszał do siebie kolegów, i tu na dziedzińcu, przed gankiem wesoło bawił się z nimi w żołnierzy.

W roku 1810 wybuchł w Nowogródku wielki pożar, który zniszczył przeszło 18 domów mieszkalnych. W pożarze tym omalże nie zginął dom Mickiewiczów. Kiedy każdy biegł na ratunek zagrożonemu domowi, Adaś usiadł spokojnie na szczycie dachu, i ciekawie przypatrywał się płonącemu miastu. Po tym napisał odę o pożarze, którą wszyscy się zachwycali.

Wielka szkoda, że utwór ten zaginął bez śladu. Obecnie wmurowana przez Komitet Mickiewiczowski tablica na zewnętrznej ścianie dworku, głosi dumnie: „Tu w zaraniu życia wznosił skrzydła do lotu Adam Mickiewicz“‘. Pod tym



Dworek rodzinny Adama Mickiewicza, który obecnie został zamieniony na muzeum pamiątek po poecie

dachem, Adam przeżył jedną z najważniejszych chwil swego życia. Doznał tu wielkich wrażeń historycznych. Był tu świadkiem przemarszu wojsk napoleońskich przez miasto, napatrzył się jaskrawych scen i widowisk. Rok 1812 wywarł niezmiernie silne wrażenie na młodym umyśle poety. Wyraźnie to oddał potem z taką potęgą i zachwytem w jedenastej księdze „Pana Tadeusza".

„O roku ów. Kto ciebie widział w naszym kraju".

W chwili największych nadziei i oczekiwań, ojciec poety pożegnał ten świat. Umarł 16 maja 1812 r., a w początkach lipca, zjawiły się na ulicach Nowogródka dawno oczekiwane orły francuskie i polskie.

Szła ta armia, młodego króla westfalskiego Hieronima (brata Napoleona), z piątym korpusem polskim ks. Józefa Poniatowskiego. Przemarsz tych barwnych szeregów przez miasto głęboko wrył się w pamięć przyszłego wieszcza narodu, który w późniejszych latach przypominając dni młodości i niezatarte wydarzenia owej wielkiej epoki woła:

O wiosno! Kto cię widział wteczas w naszym
Pamiętna wiosno wojny... [kraju:
Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna.

Podług tradycji przechowywanej w rodzinie Mickiewiczów podobno, król Hieronim kwaterował w ich domu. Rodzina na ten czas wyprowadziła się do sąsiadów, ale mały Adaś zaczajony w ogrodzie, wśród chmielu, z bijącym sercem oglądał strój i blask króla, oraz jego świty, gdy wstępował do mieszkania.

Było to latem, zimą zaś w czasie odwrotu wielkiej armii, dom Mickiewiczów zarówno jak inne, doznał niemałego spustoszenia. Parkan otaczający dworek został przez żołnierzy rozebrany na opał, tak, że sterczała tylko żałośnie jedna brama. Straszne też były noce, tej groźnej zimy. W domu, gdzie już nie było ojca Adama, obawiano się napadu maruderów. Maria Górecka (córka wieszcza), podaje, że jakiś tajemniczy duży pies, czarny, który „jakby na strażnika" przywędrował nie wiadomo skąd i czuwał przez całą zimę koło domu.

W czasie odwrotu, między innymi, mieszkał w dworku Mickiewiczów, dyrektor napoleońskiej poczty polowej, niejaki de Lawalette. Następnie kwaterował w nim dowódca armii rosyjskiej gen. Bagration.

Tak przeszła zima, a wiosną po odejściu wojska, wszystko się uspokoiło, pies, który „czujną wartę odbywał", również znikł, zostawiając w pamięci dzieci wspomnienia jakby legendy.

W roku 1815 Adam Mickiewicz ukończył szkołę powiatową w Nowogródku. Owdowiała matka musiała myśleć o jego dalszym losie. Po śmierci męża zmniejszyły się znacznie dochody, a wydatki wzrosły. Toteż najstarszy syn Franciszek pozostał w domu, aby pracować w zawodzie ojca i pomagać matce, a Adam pojechał do Wilna na uniwersytet.

Co lato jednak wracał Mickiewicz z uniwersytetu do rodzinnego dworku na wakacje „do mamy", która go spotykała zawsze z błogosławieństwem na progu. W roku 1819 kończy Mickiewicz studia uniwersyteckie i otrzymuje posadę nauczyciela szkoły powiatowej w Kownie. W tym czasie dzierżawca dworku Mickiewiczów — aptekarz, schodzi nagle z tego świata. Umiera wkrótce i ukochana matka poety, z którą nie widział się on i nie pożegnał na zawsze. Zadłużony dworek, prawem spadku przechodzi na czterech braci: Franciszka, Adama, Aleksandra i Jerzego. Gospodarzem domu zostaje najstarszy brat Franciszek Mickiewicz.

Kiedy wybuchło powstanie listopadowe — Franciszek bez wahania wziął w nim czynny udział, po czym z garstką rozbitków wyemigrował do Prus. Po wyjeździe Franciszka Mickiewicza, w opuszczonym dworku lokuje się wojsko, urządzając t. zw. „wojenny postój".

Wkrótce po tym, orzeczeniem grodzieńskiej komisji, likwidującej mienia powstańców, wydane w roku 1832, spadkowa część Franciszka w kamienicy, jako biorącego udział czynny w powstaniu, podległa sekwestrowi.

Konfiskacie jednak dworek Mickiewiczowski nie uległ, z tego zapewne powodu, że był to obiekt zbyt mały, należący aż do czterech właścicieli i obciążony długami, skutek tego rządowi nie opłacało się wyznaczyć opiekuna nad takim majątkiem.

Ostatecznie dworek ten, jako stary, opuszczony i zadłużony, z rozkazu senatu z dnia 15 czerwca 1837 r. wyznaczony został do licytacji. Licytacja odbyła się w Grodnie w lokalu urzędu gubernialnego dnia 12 września 1838 r. Nabył go tam za 2.283 rb. adwokat nowogródzki Julian Bijolt.

Aleksander Mickiewicz marzył i miał nadzieję, że kiedyś odkupi dom swych rodziców. Kiedy w roku 1858 otrzymał dymisję, zwrócił się do Bijolta z propozycją odstąpienia mu dworku, ten, jak podaje Wł. Mickiewicz, postawił warunek nie do przyjęcia, jakoby tłumacząc się tym, że dom rodzinny Adama nabrał wielkiej ceny. Wówczas Aleksander Mickiewicz nazwał Bijolta „spekulantem" i nabył mająteczek zwany „Gubernia" w okolicy Kobrynia. W danym wypadku należy przypuszczać, że Bijoltowi nie chodziło o spekulację, bowiem w tym czasie nie zażywał sławy Adam Mickiewicz, ale wprost Bijolt nie doszedł do ugody z bratem wieszcza, który nie mógł mu zwrócić wszystkich kosztów jakie Bijolt wyłożył na kupno i odremontowanie spustoszonego domu.

Dom Mickiewiczów po gruntownym remoncie był wydzierżawiony. Mieszkał w nim lat wiele znany poeta-romantyk Julian Korsak, tłumacz Dantego i Szekspira. Po nim, dworek wydzierżawili państwo Markiewiczowie, którzy w roku 1861 gościli u siebie kilka dni syna Adama Mickiewicza — Władysława.

Zaraz po wizycie Władysława Mickiewicza, właściciel dworku umarł, posesję Mickiewiczowską odziedziczyła wdowa po nim Aniela z domu Dąbrowska.

W lat pięć po śmierci męża, Aniela Bijołtowa umiera (17 maja 1866 r.) i nie mając potomków przekazuje testamentem dworek Antoniemu Dąbrowskiemu, rodzonemu bratankowi.

Antoni Dąbrowski z zawodu adwokat przysięgły, w Nowogródku nie mieszkał, przebywał w Rosji, i otrzymany w spadku dworek wydzierżawiał.

Na początku XIX wieku przylegające drewniane zabudowania nieraz się paliły, lecz dom murowany pozostał nietknięty. Dopiero latem 1881 roku, ogień strawił wszystkie zabudowania dwoorku, pozostawiając jednak nietknięte sklepienia i ściany kamieniczki. W roku 1886 bawiąc w Nowogródku, druh Mickiewicza, prof. Ig. Domejko, odrysował ruiny od dawna znanego sobie domu i w liście do redakcji „Kłosów" przesłał ich rysunek i opis.

Wkrótce potem ziemiaństwo Nowogródzkie w osobie Romana Jodki-Narkiewicza, zwróciło się do właściciela Antoniego Dąbrowskiego, z propozycją nabycia tych ruin za 300 rub., celem urządzenia na tym miejscu „wirydarza miejskiego" imienia Mickiewicza.

Antoni Dąbrowski propozycję odrzucił i w roku 1887 sam przystąpił do odbudowania domu, zachowując ten sam jego kształt i wewnętrzny rozkład pokojów jaki był za czasów poety. Jednocześnie wymurował oficynę na miejscu spalonej drewnianej i odkupił sąsiedni plac, gdzie przed pożarem stała poczta, a obecnie na jej miejscu pobudowano altanę w kształcie lamusu. Odbudowany dworek uchodził wówczas za najpiękniejszą posiadłość i odrazu znalazł dzierżawców. Zamieszkiwali w nim jeden po drugim powiatowi marszałkowie szlachty. Ostatni marszałek — Pejker, wyprowadził się stąd w roku 1913. Po nim wydzierżawiła dworek Maria Wierzbowska z maj. Feliksowo, która z małymi przerwami przemieszkała w nim 24 lata.

Podczas wojny światowej, w dworku lokowały się kolejno sztaby wojskowe. Przez cały czas okupacji niemieckiej, była w nim siedziba sztabu generała Szöffera, następnie po wkroczeniu do Nowogródka w 1919 r. wojsk polskich — sztab generała Lasockiego, a w czasie inwazji bolszewickiej lokują się w nim władze sowieckie.

Po wojnie wydzierżawiła dworek ponownie Maria Wierzbowska. W maju roku 1922 dworek gościł u siebie przez dni kilka Władysława Mickiewicza. Była to druga po r. 1861 jego wizyta w grodzie Mendoga.

Wkrótce po wizycie Władysława Mickiewicza, zawiązał się w Nowogródku Komitet Uczczenia Pamięci Adama Mickiewicza, który postanowił urządzić w Nowogródku muzeum Mickiewiczowskie. W tym celu w lutym 1931 r, Komitet zwrócił się do właściciela dworku, sędziego Tadeusza Dąbrowskiego, syna Antoniego z prośbą o oddanie w dzierżawę domu rodzicców poety. Ponieważ umowa dzierżawna z Wierzbowską była jeszcze w mocy i Dąbrowski mimo przychylnego ustosunkowania się do poczynań Komitetu odrazu nie mógł wydzierżawić dworku, postanowiono tymczasowo umieścić muzeum w innym lokalu. W kwietniu 1934 r. Komitet Mickiewiczowski ponowił propozycję wydzierżawienia dworku na co Dąbrowski się zgodził.

Do czasu zaś wyprowadzenia się Wierzbowskiej, Komitet zajął oficynę, umieszczając w niej muzeum i biuro. Maria Wierzbowska wyprowadziła się z dworku dopiero 21 maja 1937 roku.

Komitet Mickiewiczowski po opuszczeniu dworku przez prywatnych lokatorów energicznie przystąpił do wyremontowania domu Mickiewicza i należytego urządzenia muzeum. Już we wrześniu 1937 r. zbiory muzealne przeniesiono z wilgotnej oficyny do nowo-odremontonych pokoi, których dworek liczy siedem i wszystkie są zajęte pod muzeum. Pamiątek po Wieszczu jest sporo. Muzeum ciągle się wzbogaca. Zainteresowanie się dworkiem Mickiewicza jest duże. Toteż ruch turystyczny do Nowogródka wzmaga się z każdym rokiem. Napływają wycieczki nie tylko z Polski i z całej Europy, ale i z Ameryki. Nowogródek musi być dumny z tego, że dworek Mickiewiczowski, doczekał się pięknej roli, by spełniać wielką misję, szerzyć kult wielkiego Wieszcza Narodu. Należy pamiętać, że Muzeum Mickiewiczowskie w Nowogródku będzie z czasem najdroższym sanktuarium Nowogródczyzny. Tu się zgromadzi wszystko, co ściśle jest związane z osobą nam wszystkim bardzo drogą, z historią poety, jego zasługami dla kraju i całego świata.

dozorców więzienia. Uplanowano ucieczkę Maksymiliana w habicie Kapucyna. Chcąc pozyskać generała Escobedo, dla którego pieniądze nie miały żadnego znaczenia, księżna postanowiła użyć kobiecego podstępu. W swych pamiętnikach opowiada, iż weszła w nocy do sypialni generała. Zdumiony wojownik przeciągle spojrzał na niezwykłego gościa. W ciągu kilku chwil księżna była już prawie pewna, iż osiągnie swój cel, lecz generał potrafił się opanować i Agnes Salm musiała odejść z niczym. Na nic się nie zdało ani złoto, ani piękne ciało, indyjski generał nic nie przyjął i nic nie dał.

Nie zniechęcona swym niepowodzeniem księżna postanawia próbować szczęścia u Juareza; dosiada więc konia i pędzi w kierunku San Luis Potosi. W międzyczasie jednak Juarez zarządził natychmiastowe wszczęcie procesu. Więźniowie Maksymilian Habsburg, Miramon i Mejia w dniu 12 czerwca 1867 r. stanęli przed sądem wojennym, obradującym w sali teatru w Queretaro. Los obu generałów był szybko przesądzony. Procedura w sprawie cesarza zabrała nieco więcej czasu, lecz wyrok został wkrótce wydany.

Księżna de Salm-Salm przybyła o kilka dni za późno. Juarez przyjął ją nadzwyczaj uprzejmie, ale gdy księżna z płaczem błagała o ułaskawienie Maksymiliana, bezwzględny przywódca powstania oświadczył:

„Przykro mi niezmiernie, księżno, iż pani klęczy u mych stóp, lecz gdyby nawet wszyscy królowie i królowe Europy klęczeli obok pani, nie zdołaliby uzyskać łaski dla cesarza, bowiem nie ja wydaję wyrok, lecz naród i prawo".

15 czerwca 1867 roku cesarz Makrymilian został skazany na śmierć.

Nastąpiły ponure dni. Maksymilian zachował do końca wielkość ducha i szlachetność, myśląc przede wszystkim o losie innych. Na parę dni przed śmiercią pisze proklamację, zaczynającą się od słów: „Rodacy! Oto me ostatnie słowa. Pragnę, aby krew moja przyczyniła się do odrodzenia Meksyku i stała się ostrzeżeniem dla wszystkich nieprzezornych i zbyt ambitnych władców!"

W ostatnich godzinach swego życia podpisuje jeszcze nominacje i dyktuje swemu adiutantowi, księciu de Salm-Salm, różne maksymy i rozważania moralne, lub pogrąża się w czytaniu historii śmierci Karola I. W tym czasie przynoszą mu wiadomość o śmierci Karoliny i cesarz pisze do ambasadora Austrii:

„Dowiedziałem się przed chwilą, iż moja biedna żona zakończyła życie. Ta rozdzierająca serce wiadomość przyniosła mi jednak równocześnie ukojenie. Teraz mam już tylko jedno pragnienie, aby zwłoki moje zostały pochowane obok szczątków mej żony."

I zapominając o sobie, dodaje:

„Liczę na to, iż pan nie będzie szczędził wysiłków, by uratować wszystkich austriackich żołnierzy i oficerów, przebywających jeszcze w Meksyku".

Nieco później, ogarnięty wątpliwościami pisze do swej żony na wypadek, gdyby wiadomość o jej śmierci była fałszywą:

„Śmierć wydaje mi się najszczęśliwszym rozwiązaniem. Pójdę naprzeciw niej jak żołnierz i jak suweren, zwyciężony, lecz nie okryty hańbą".

Konsul belgijski Hoorickx donosi w swym raporcie do ministra z dnia 5 czerwca, iż dowiedziawszy się o uwięzieniu cesarza pospieszył do Queretaro, odbywając konno 60 mil w ciągu trzech dni. Po długich pertraktacjach, dostał się do klasztoru Kapucynów, gdzie w nędznej celi bez drzwi i okien, liczącej 16 stóp kwadratowych, cesarz Maksymilian leżał na twardym posłaniu, wijąc się w bólach straszliwej dezynterii, opuszczony przez wszystkich.

W ostatniej chwili, gdy oczekiwano jeszcze aktu łaski Juareza, przybył posłaniec. Przywoził jednak tylko trzydniowe odroczenie wyroku, by umożliwić generałowi Mejia ostatnie pożegnanie z żoną i nowonarodzonym synem.

Interwencja dyplomatów europejskich zawiodła: Juarez pozostał nieubłagany. Cesarz spokojny i pełen skupienia, modlił się. Ponury świt wstał nad górami w szary poranek 19 czerwca. W korytarzu klasztornym wzniesiono ołtarz, przy którym Maksymilian wysłuchał ostatniej mszy. Po skończeniu nabożeństwa zwrócił się do asystującego lekarza, wręczając mu swą obrączkę, różaniec i szkaplerz z prośbą o doręczenie Karolinie. Gdy doktor zrobił przeczący ruch głową, Maksymilian przekonany już wówczas całkowicie o śmierci swej żony, prosił o oddanie tych pamiątek matce. Po czym ucałował Miramona i Mejia i dumnym krokiem, z wysoko podniesioną głową, skierował się pod mur straceńców. Książę de Salm-Salm, wsparty o framugę okna, płakał gorącymi łzami. Na dziedzińcu ustawiał się pluton egzekucyjny. Nadworny kucharz cesarza, Węgier rodem, ukląkł przed swym panem, wyciągając ku niemu z głośnym łkaniem dłonie. Żona generała Mejia rozpaczliwym gestem podała mężowi nowonarodzonego syna. Z szarych smug świtu, wypłynęło olśniewające blaskiem słońce. Maksymilian rozdał żołnierzom plutonu egzekucyjnego swe ostatnie pieniądze, prosząc, by celowali wprost w serce.

Za osłonecznionym wzgórzem domy Queretara budziły się zwolna ze snu; ptaki śpiewały swą pieśń poranną, rozpoczynał się nowy dzień zwykłego życia ludzkiego, podczas gdy pod murem klasztoru umierał cesarz z okrzykiem: „Wszystkim przebaczam, niech żyje Meksyk!"

O godzinie ósmej zwłoki Maksymiliana spoczęły obok wiernych towarzyszy broni Miramona i Mejia, rozstrzelanych wraz z nim.

27 czerwca Hoorickx donosił ministrowi Charles Rogier:

„Cesarz Maksymilian już nie istnieje. Padł, przebity dziewięcioma kulami w dniu 19 czerwca pod murem Perro de Las Campanas w Queretaro, rozstrzelany przez liberałów, do których w przeciągu lat trzech wyciągał nadaremnie przyjazną dłoń."

Karolinie powiedziano o tych smutnych wydarzeniach tylko to, co uważano za konieczne. Teraz już wszystko skończone! Piękny park w Tervueren osnuła tragiczna pustka. Żegnaj Maksymilianie! Żegnaj Meksyku!

Może w przyćmionym umyśle Karoliny błysnęła przez jedną chwilę myśl, którą wypowiedziała przed odjazdem do Europy: „Twierdzę, iż cesarzowi nie wolno się poddawać. Dopóki będzie cesarz, będzie i cesarstwo, choćby obejmowało ono zaledwie sześć stóp ziemi." Żegnaj Meksyku, żegnaj Maksymilianie!

Ciemna noc okryła czarnym welonem drzewa parku. Ciemna noc zapadła w sercu cesarzowej. Miara cierpienia już się przebrała! Czara goryczy wypełniła się po brzegi! Nieprzenikniona ciemność zapanowała dookoła. Żegnaj Meksyku. Daleko, daleko, w głębi mrocznej nocy, jaka otoczyła odtąd umysł Karoliny, Meksyk trwać będzie zawsze, choć stał się cesarstwem, obejmującym tylko sześć stóp ziemi, w których spoczęły doczesne szczątki cesarza Maksymiliana.

XVII.

W pałacu tervuereńskim cesarzowa Karolina pozostanie przez kilka lat, nie biorąc już żadnego udziału w sprawach tego świata, zamknięta w sobie, skupiona i myśląca, reagująca zaledwie na drobne zjawiska codziennego życia.

Karolina pozostanie obojętna na wszystko, choć wydarzenia dziejowe wirować będą dookoła niej w jakiejś szalonej sarabandzie. Nie wiedząc nic o tym, stanie się kamieniem węgielnym historii Europy: doniosłe wydarzenia dynastyczne, gwałtowne upadki mocarzy, tragiczne zgony będą, jak gdyby na jej rozkaz wypisywane ponurymi głoskami na tablicy przeznaczenia.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

R. SCAEVOLA

Niespodzianki losu

NOWELA

Panna Ewa Tarczyńska była wielką damą. Wychowana w atmosferze konserwatywnych zapatrywań swego ojca Jana Topor Tarczyńskiego, który pamiętał lepsze czasy, wielkopańskie czasy bogatej szlachty, za nic uważała stanowisko, a nawet szczere, szlachetne uczucie prawdziwej miłości, okazywanej jej przez dość zamożnego, inżyniera Henryka Starzyńskiego.

Wprawdzie w powojennej Polsce tytuły straciły swoje przesadne znaczenie, ale pan radca Tarczyński chociaż był „tylko" panem radcą i zubożałym wprawdzie, ale zawsze artystokratą, nie mógł się pogodzić z tą myślą, by jego córka jedynaczka miała wyjść za mąż za człowieka nieszlacheckiego pochodzenia. Wszak nieboszczka matka Ewy była z domu hrabianką.

Pan Henryk był bardzo przystojnym i miłym chłopcem, a ponieważ szlacheckich partyj jakoś widać nie było, z bólem serca zaczął się pan radca godzić z myślą, że córka wyjdzie za inżyniera. Panna miała dwadzieścia pięć lat, więc pan radca rozumiał to dobrze, że czas już, by pomyśleć o jej zamążpójściu. Panna Ewa też to dobrze rozumiała, a może lepiej, od swego ojczulka, którego zapatrywania od dzieciństwa wpajane najzupełniej podzielała. Pan Henryk był bardzo miłym i sympatycznym, delikatnym, a nawet bardzo subtelnym mężczyzną, przy czym kochał ją pierwszą gorącą miłością.

Czas z nim spędzała bardzo przyjemnie i może nawet lubiła go trochę. Gdyby nie te arystokratyczne mrzonki, mogliby być razem bardzo szczęśliwym stadłem małżeńskim. To właśnie, było tą niewidzialną, a tak wielką przeszkodą do prawdziwego szczęścia dwojga ludzi. Naturalnie, że o tych mrzonkach panny Henryk nic nie wiedział. Wkrótce też odbyły się ich zaręczyny i niedługo potem miał się odbyć ślub.

Do chwili tej spieszno było kochającemu mężczyźnie bardzo, lecz panna, starała się ją odsunąć jak najdalej. Dlatego też podczas świąt Bożego Narodzenia, pod pretekstem, że wyprawa jej jeszcze niegotowa, przesunęła termin ślubu na święta Wielkanocne. Chociaż niechętnie, pan Henryk musiał się z tym pogodzić.

Tymczasem zaczął się karnawał.

Do Ewy przyjechała na ten czas jej siostra cioteczna z Polesia, miła panienka Zosia Jabłonowska. Wybierały się więc razem na bal urządzany przez Ligę Morską i Kolonialną w salach Kasyna Polskiego, na którym miała być cała elita stołeczna.

Pan Henryk miał im towarzyszyć. Naturalnie, że pan radca, jako członek Kasyna Polskiego wybierał się z nimi.

Gdy wreszcie nadszedł ten dzień względnie wieczór, Henryk z zachwytem patrzył na swą narzeczoną. Smukła, pięknie zbudowana o regularnych i miłych rysach owalnej twarzy szatynka, w strojnej uwydatniającej, jej piękne kształty sukni, była przedmiotem ogólnego zainteresowania.

Gdy młodzi tańczyli, pan radca przesiadujący stale wieczorami w kasynie, jak zwykle siedział przy preferansie.

W każdym większym towarzystwie łatwo jest o nowe znajomości. Pan radca, mający, jak na Warszawę, bardzo szerokie koło znajomych, zdawało by się, że nie mógł nie znać kogoś, już choćby nawet tylko z widzenia czy opowiadania — poznał osobistość, która potrafiła od razu wzbudzić jego największe zainteresowanie. Był to hrabia Zbigniew Dąbrowa - Olszewski, w służbie dyplomatycznej przebywający stale poza granicami Polski, który na krótki tylko czas przybył do Warszawy.

W panu radcy odżyły arystokratyczne marzenia. Pomyślał też zaraz o Ewie.

— Może pan hrabia pozwoli, że przejdziemy do bufetu — zaproponował p. Tarczyński.

— Z miłą chęcią — odparł tenże — i opuścili pokój gry.

Było już dawno po północy. Właśnie gdy przechodzili koło sali balowej pan radca zobaczył córkę, która szła jak gdyby na ich spotkanie i przedstawił ją nowo-poznanemu arystokracie.

Pan hrabia w szczerych słowach wyraził swą radość z tego poznania i zachwyt nad urodą Ewy. Panna Ewa odpłaciła mu pięknym za nadobne. Oznajmiła przy tym ojcu, że pan Henryk wyszedł przed chwilą, odwieźć Zosię do domu, gdyż czuła się niedobrze. Tak rozmawiając przeszli do bufetu, gdzie przy szampanie zaczęła się swobodna i miła pogawędka.

Trzeba było przyznać panu hrabiemu, że był mężczyzną bardzo przystojnym, posiadającym mowę i gesty dystyngowane i tak przy tym swobodnym i neutralnym, że od razu podbił serce dziewczyny. Wreszcie pan hrabia zaprosił ją do tańca.

— Pan hrabia tańczy przecudnie — rzekła do ojca, gdy wrócili do stolika. Ten zaś w podzięce ucałował małą rączkę panny i nie pozostał dłużnym w pochwałach dla uroczej bogini.

Pan radca nie omieszkał naturalnie zaprosić pana hrabiego do siebie na przyjacielskie przyjęcie, któremu ten ostatni nie mógł odmówić, tym bardziej, że i panna Ewa przyłączyła się do tej prośby. Wkrótce zaproszono ją do tańca.

Na wtorkowe przyjęcie u pana radcy pan Henryk, z łatwo zrozumiałych względów zaproszonym nie został. Zresztą byłby to nonsens. Jako narzeczony panny Ewy, dom miał otwarty. Zajęty był jednak wśród tygodnia bardzo pilnymi robotami na prowincji i tylko w niedzielę i święta przyjeżdżał do stolicy. Nie potrzebowano zatem obawiać się z tej strony pokrzyżowania ułożonych planów.

Przyjęcie było wystawne, czas schodził mile, węzły przyjaźni zostały zadzierzgnięte.

Wreszcie spełniły się marzenia pana radcy.

Po kilku jeszcze wizytach, pan hrabia poprosił go o rączkę panny Ewy. Pospiech swój tłumaczył tym, że wkrótce ma odjechać na swoją placówkę dyplomatyczną, a chciałby zabrać tam Ewę już jako swoją żonę. Panna była w siódmym niebie, a pan radca również.

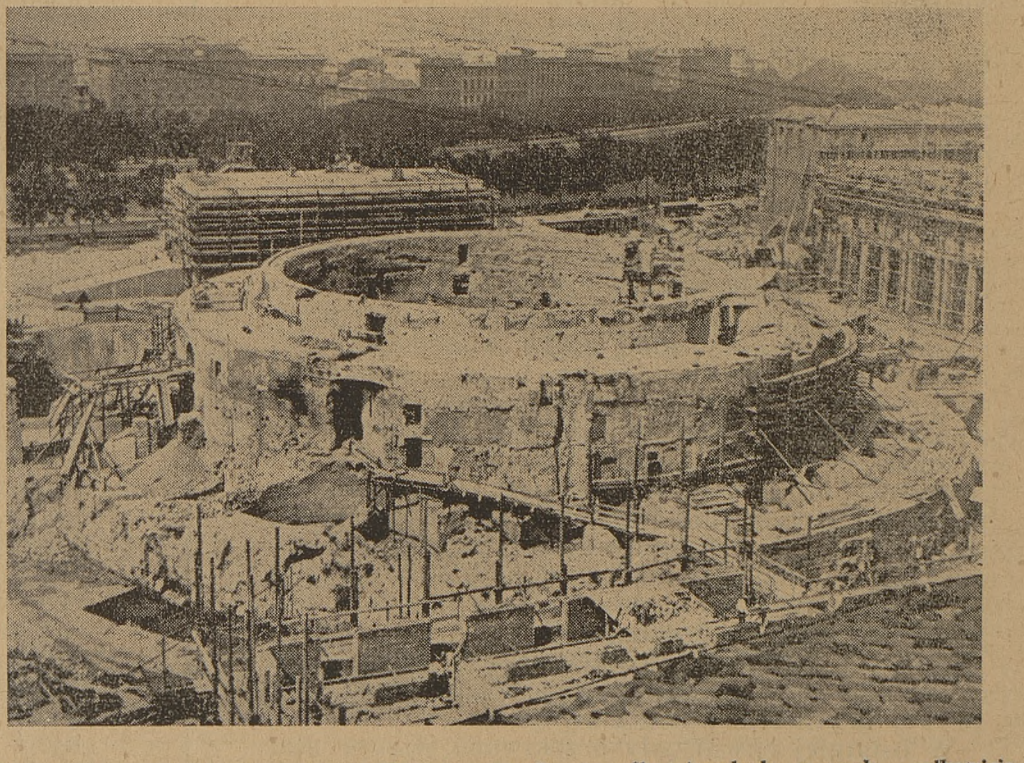
Tymczasem pan Henryk zawiadomił narzeczoną, że zachorował na grypę. Okoliczności więc sprzyjały nadspodziewanie. Odetchnęła.

Obawiała się wciąż tej chwili, kiedy będzie musiała tłumaczyć się Henrykowi z zerwania z nim, wreszcie słuchać jego ewentualnych wymówek lub wyrzutów. Choroba jego upoważniała ją do załatwienia tego wszystkiego pisemnie, co zdejmowało jej wielki ciężar z serca.

Postanowiła uczynić to po zaręczynach z panem hrabią, które miały odbyć się za dwa dni.

Zaręczyny się odbyły.

Szczęśliwa narzeczona otrzymała od swego nowego narzeczonego prześliczny pierścień z dużym brylantem i naszyjnik z pereł.



Starożytna świątynia Augusta w Rzymie została po długotrwałych pracach całkowicie odkopana.

Była zachwycona, odurzona!

Zerwanie z Henrykiem odbyło się gładko. Uskuteczniła to listownie.

Otrzymała następującą odpowiedź: „Życzę wiele szczęścia Henryk."

W dwa tygodnie później odbył się ślub Ewy z hrabią Zbigniewem.

Swoje obecne nazwisko „hrabina Ewa Dąbrowa-Olszewska" — powtarzała w myśli z dumą i czuła się naprawdę szczęśliwą.

W ciągu najbliższego tygodnia mieli odjechać w podróż poślubną do Szwajcarii i Włoch.

Ewa przygotowywała się do podróży, załatwiała różne sprawunki.

Wreszcie kufry i walizy były spakowane. Nazajutrz mieli odjechać.

Po obiedzie pani hrabina jak zwykle odbywała swoją popołudniową drzemkę, która dzisiaj zamieniła się w dłuższy sen aż do późnej nocy. Przebudziła się z bólem głowy. Małżonka nie było.

Pewnie jeszcze nie wrócił z kasyna — pomyślała i zasnęła znowu. Gdy jednak wstała rano i zobaczyła łóżko męża nietknięte, ogarnął ją niepokój. Zawiadomiła o tym ojca. Pan radca udając się do biura wstąpił porozmawiać w tej sprawie do siostry Eugenii. Postanowiono jeszcze zaczekać. Ewa była bardzo niespokojna, co mogło stać się z jej mężem.

Na drugi dzień pan radca udał się do swego znajomego nadkomisarza policji Zarzyckiego.

To jednak, czego się dowiedział, było dla niego strasznym ciosem. Mianowicie, rzekomy hrabia był pospolitym oszustem. Nazywał się Marcin Terała, a urodzony był w Lubelskiem.

„Pan" Terała nie omieszkał naturalnie podjąć sto tysięcy złotych posagu swej żony, które zniknęły razem z nim.

Gdy się o tym dowiedziała pani Ewa — zemdlała.

Okazało się również, że niebieski ptaszek, zwyczajem ptaków wyfrunął dnia poprzedniego samolotem pasażerskim o godzinie 17.30 do Paryża.

W miesiąc później otrzymała pani Ewa od swej kuzynki z Kielc następujące zawiadomienie:

Krystyna Leliwa - Modlińska
i
Hrabia Henryk Znicz - Starzyński

mają zaszczyt zaprosić JWP. na ślub swój, który odbędzie się w katedrze św. Wojciecha dnia 18. IV. 1938 r. o godz. 12 w południe.

Naturalnie, że gdyby Krzysia wiedziała o znajomości Ewy z Henrykiem nie zrobiłaby tego. On zaś z tego Krzysi się nie zwierzał, a przed Ewą nie hełpił się swym tytułem hrabiowskim.

MARYŚKA K.

Zdradziecka fotografia

NOWELA

Ewa Kormowska zatarła ślady. Schroniła się na prowincję, gdzie pod nazwiskiem Eli Jarskiej, budziła powszechny zachwyt wśród miejscowej płci męskiej, swoją niezwykłą urodą. Wysoka, niebieskooka brunetka — bajecznie zgrabna, stała się celem umizgów wszystkich, małomiasteczkowych Don Juanów.

Prędko znudzili ją jednak prowincjonalni wielbiciele — i wbrew rozsądkowi, który zalecał jej jak najdalej idące ostrożności — zaczęła szukać czegoś oryginalniejszego. Uderzona widocznie jakąś dobrą myślą, zaczęła przeglądać kolumny ogłoszeń. Znalazła widocznie odpowiedni anons, bo uśmiechnęła się i rzekła:

— Napiszę — załączę zdjęcie — może odpowie, a wtedy...

I znów się uśmiechnęła na myśl, co będzie wtedy. Napisała słów kilka, załączyła fotkę i za kilka dni nadeszła odpowiedź:

— Interesy zapędzą mnie w tamte strony. Przy okazji wstąpię. Proszę czekać 16-go na stacji. Jako umówiony znak — numer pisma, w którym było ogłoszenie. Dziś był 15-ty. A więc to jutro?

Nazajutrz Ela ubrała się bardzo starannie, by podkreślić jak najkorzystniej swoją urodę. Udało jej się to w zupełności, bo wyglądała piękniej, niż kiedykolwiek. Gdy pociąg nadjechał, wysiadło kilku panów. Jeden z nich, wysoki, smukły brunet o rasowej twarzy, zatopił spojrzenie swych czarnych, wspaniałych oczu, w oczach Eli. Uczynił na niej wrażenie znajomego, lecz mimo usilnego grzebania w pamięci, nie mogła sobie przypomnieć, gdzie i w jakich okolicznościach widziała tego mężczyznę. Zresztą posiadała bardzo krótką pamięć wzrokową i ludzi raz widzianych mogła nie poznać wcale. Niemniej wywarła na Eli silne wrażenie jego niepospolita uroda, a szczególnie przykuły ją do siebie, te czarne, piękne oczy. I, nie zwróciła na to uwagi, czy nieznajomy miał numer pisma w ręku, czy nie, tak owładnęły nią owe wspaniałe oczy. Tymczasem nieznajomy zbliżył się do niej ze słowami:



W Paryżu obrano w obecności maharadży Kapurthalu i innych wybitnych osobistości „Miss Photo" na rok 1938. Została nią, widoczna na zdjęciu Salle Wagram.

— Czekała pani na mnie? Jestem Witold Janowski.

Ela drgnęła na dźwięk tego głosu — tak bardzo był podobny do kiedyś słyszanego. Na chwilę nawet stopiła się, lecz spojrzawszy na posiadacza czarnych oczu — uspokoiła się zupełnie.

— Nie, ten człowiek może jest tylko do kogoś, kiedyś znanego, bardzo podobny, ale przecież od nieznajomego z ogłoszenia, nie może mi nic grozić — pomyślała.

I już zupełnie uspokojona odrzekła:

— Ela Jarska.

Uścisnął jej rękę i obdarzywszy dłuższym spojrzeniem „Czy bardzo się pani rozczarowała? — zapytał z uśmiechem.

— Tak — bardzo — również uśmiechając się odrzekła Ela.

— Wobec tego nie wypada mi nic innego, jak tylko skorzystać z praw i od razu zacząć inkwizytorskie tortury.

Ela poczuła się teraz zupełnie swobodnie. nie. Zaczynała ją bawić i intrygować przygoda. Śmiejąc się i żartując, niby starzy znajomi doszli do domu Eli.

— Uprowadzam pana i prędko nie wypuszczę — ostrzegam — rzekła Ela.

— Jestem biedny i z determinacją godzę się z losem.

— Wobec tego nie wypada mi, tylko skorzystać z praw i od razu zacząć inkwizytorskie tortury.

— Czy długo zabawi pan przejazdem?

— Kobieto — ciekawość cię zgubi — lecz jako niewolnik, winien jestem odpowiedzieć — jutro — jeżeli uda mi się dziś wszystko pomyślnie załatwić, opuszczę progi tego miasta.

Ela wprowadza gościa do pokoju, mówiąc:

— Proszę się rozgościć, ja tymczasem przygotuję herbatę. Gorąca herbata dobrze zrobi po podróży. Idę zamówić ją u gospodyni.

Gdy został sam, ciekawie obejrzał pokój. Wreszcie zatrzymał swój wzrok na dużej fotografii. Był to mężczyzna bardzo przystojny, lecz raczej typ niewieści. Mimo, że jego rysom nic nie było można zarzucić,



Patrol kawaleryjski w akcji podczas wielkich manewrów armii polskiej na Wołyniu.

robił odpychające wrażenie — szczególnie wyraz oczu był jakiś drapieżny, niemiły.

Upewniwszy się, że Ela jeszcze nie wraca, szybko wyjął zdjęcie z portfelu. Porównał i widocznie zadowolony z wyniku lustracji, uśmiechnięty jakoś groźnie, usiadł z powrotem na kozetce.

W tejże prawie chwili weszła Ela z herbatą. Nakryła i skinieniem zaprosiła do stołu.

Również skinieniem podziękował, mówiąc przy tym:

— Niesamowicie miło jest u pani.

Ela czuła się zadowolona. Witold podobał jej się coraz bardziej. Rada była z nowej znajomości.

A Witold pijąc herbatę nie spuszczał oczu z Eli i ta, choć oswojona z uwielbieniem mężczyzn, tym razem czuła się dziwnie nieswojo, pod kuratelą tych oczu. Czarowała ją, ale i przejmowała niepokojem ich przenikliwość — badawczość.

Chcąc przerwać przykrą dla siebie obserwację, zapytała.

— Czemu pan się tak ustawicznie we mnie wpatruje?

— Chcę się zapatrzeć i nie zapomnieć rysów pani. Pani jest bardzo podobna do tego pana i oczyma wskazał na fotografię.

Ela drgnęła, lecz szybko się opanowała i zupełnie spokojnie odrzekła:

— Jesteśmy bardzo do siebie z Edkiem podobni. To mój brat. Kocham go bardzo. Tylko teraz nic o nim nie wiem.

— Ach tak! Teraz już jest dla mnie jasne, czemu twarz pani wydała mi się znajomą. Dziwne tylko, że pan, o którym pani mówi, że jest jej bratem, wówczas gdy go znałem, nosił nazwisko Zygmunta Palskiego.

Gdyby grom uderzył, nie byłby sprawił na Eli takiego wyrażenia, jak posłyszane nazwisko. Zbladła tak strasznie, że Witold był w obawie, że zemdleje. Lecz po krótkiej chwili znów się opanowała i już innym, twardym tonem wyrzekła:

— Pan mnie indaguje?

— Bynajmniej — jestem gościem pani i nie ośmieliłbym się wprawiać ją bez powodu w zakłopotanie. Lecz mam bajeczną pamięć wzrokową i zmysł obserwacyjny mocno rozwinięty, mogłem się jednakże pomylić, więc przepraszam najmocniej.

Nie uspokoiło to jednak Eli, która była poważnie zaniepokojona słowami Witolda, tym bardziej, że jego przenikliwe oczy w dalszym ciągu zdawały się przewiercać do samego dna jej duszy. Natomiast Janowski ciągnął dalej:

— Tak piękną kobietę jak pani, spotyka się rzadko — jak rzadką jest osoba mężczyzny o rysach pani. Zarówno jednak mężczyzna, jak i kobieta o takiej urodzie, zniewala serca do miłości. Proszę się przyznać — wielu było takich, którzy gotowi byli wszystko dla pani uczynić, nawet zbrodnię popełnić; prawda?

Próżne były starania Eli, zmierzające do opanowania się. Więc z trudem dobyła z krtani odpowiedź:

— Jestem chora na serce — nerwy mam stargane, panu jednak zależy na tym, by mi przysparzać wrażeń najbardziej zabójczych.

Teraz ochłonęła zupełnie, ciągnęła wiec dalej.

— Obrał sobie pan dziwny i niezrozumiały dla mnie sposób mówienia. Jak na dopiero co zawartą znajomość — muszę zauważyć — niezbyt to delikatnie z pana strony.

— Tak — odrzekł Witold — ma pani rację, powinienem mówić wyraźniej, a wówczas wszystko stanie się dla pani jasne. Czy przypomina sobie pani Jurka Wareckiego? Nieszczęsny urzędnik z ministerstwa, który zaślepiony miłością do pani, wykradł dla niej cenny dokument? A po tej podłości chciał sobie w łeb strzelić, gdy się przekonał, że był pani tylko potrzebny jako narzędzie zbrodni! Umknął za granicę i ślad po nim zaginął. Powrócił jednak, bo odnalazł się ten dokument i dzięki silnej obronie zwolniono go z kary więzienia. Nie dość jednak było pani tej jednej ofiary. W ministerstwie pracowała jeszcze siostra Wareckiego. Ukazała się więc pani na widowni, jako przystojny mężczyzna — Zygmunt Palski. Za drugą ofiarę obrała sobie pani właśnie ją i ta również nie zdołała oprzeć się pani kusicielskiej urodzie i pomogła skraść tajne dokumenty. Warecką uwięziono, gdyż poszlaki były przeciwko niej. — Palski zginął bez śladu. Lecz popełniła pani jednak nieostrożność — zostawiła Wareckiej swoje zdjęcie. To panią wydało. Była pani sprytną — zawsze umiała ślad zatrzeć za sobą, lecz tym razem traf dopomógł. Warecki powrócił jako mściciel. Swoje krzywdy mógł darować, lecz siostry — nigdy. Zabawił się w detektywa i miał trochę szczęścia.

Ewa cały czas rozmowy Wareckiego siedziała nieruchoma z przerażenia.

— Jadąc tu, nie spodziewałem się spotkać pana, który jechał do pani. Poznałem go w pociągu i pokazał mi zdjęcie pani. Wówczas wyjaśniłem mu, że zależy mi ogromnie na spotkaniu z panią; więc zgodził się wrócić, a ja go miałem zastąpić. Wiedziałem przy tym, że ma pani słabą pamięć wzrokową i dlatego nie obawiałem się poznania. Przy tym 3 lata zrobiły swoje.

Ewa nagle odzyskała mowę i zaczęła się bronić:

— Ciekawa jestem, po co pan to wszystko mówi do mnie. Jestem Jarska i nie rozumiem, co mogę mieć z tym wspólnego. Pan w najwyższy sposób obraża podobnymi oskarżeniami.

Witold na to jeszcze bardziej badawczym spojrzeniem obrzucił Elę i widocznie dojrzawszy to, czego szukał, odrzekł pewnie:

— Czy rzeczywiście nie jest pani Ewą Kormowską, pani Jarska? Czy nie posiada pani krwawego znamienia w kształcie gwiazdy na ramieniu tuż przy szyi? Nie dość ostrożna jest pani, że nosi tak bardzo wycięte suknie. O, teraz już nie pomoże — widziałem ten znak pierwej i dlatego ośmieliłem się rzucić pani oskarżenie.

Teraz Ela próbowała innej drogi ratunku:

— Jurku — poznałam Cię od razu i kocham Cię — naprawdę kocham — nie mogłam zapomnieć. To nie może być prawdą co mówisz — dręczysz mię tylko beztrosnie, ale ty mi wybaczysz? — I przywarła do niego ustami. W szaleństwie pieszczot szukała ratunku.

Warecki jednak dojrzał w jej oczach ogniki złego triumfu i przypomniał sobie siostrę — odsunął ją od siebie i rzekł:

— Ewo, skończ z czułościami. Jaga Warecka siedzi w więzieniu. Jej również to samo mówiłaś, jej również pocałunkami kłamałaś, przysięgałaś jej miłość. Umiesz wszystko symulować — nawet miłość.

Ewa zerwała się — złe błyski zamigotały w jej oczach drapieżnych. W mgnieniu sekundy dopadła szuflady i nim zdołał jej przeszkodzić, wycelowała weń i strzeliła.

Warecki to przewidział i uskoczył, a schwyciwszy za rękę odebrał jej rewolwer. Poczęła się szamotać i kąsać go po rękach, lecz obezwładnił ją, a skrępowawszy szalikiem ręce — zawołał na gospodynię. Poprosił ją, by wezwała posterunkowego.

Przerażona gospodyni wszczęła alarm, uspokoił ją jednak i posłusznie spełniła zlecenie. No i gdy zjawił się przodownik policji, przedstawił mu w kilku słowach całą sprawę.

— Oto poszukiwana przez władze kobieta - szpieg — bardzo niebezpieczny, Ewa Kormowska.

Wykazał przytem zezwolenie władz na prowadzenie tej sprawy.

Ewa, po zdemaskowaniu, powędrowała w kajdanach do komisariatu. Przeprowadzona rewizja w jej mieszkaniu dała wspaniałe rezultaty. Mieszkanie jej było główną skrytką wszystkich skradzionych dokumentów, przeznaczonych do użytku obcych państw, z ramienia których Ewa działała. Dowody winy były stwierdzone. Wyrok skazał ją na dożywotnie więzienie. Warecki osiągnąwszy cel, zamieszkał ze zwolnioną siostrą w ustronnej miejscowości górskiej.

RAJ KOBIET

Służba domowa w Japonii

Dzięki wysokiej oświacie w Japonii bardzo pomyślnie ułożyły się stosunki między służbą domową a pracodawcami.

Służące są zazwyczaj zaliczane w domach chlebodawców w poczet członków rodziny. Otrzymują one małe wynagrodzenie miesięczne, ale za to gospodyni uczy je gospodarstwa, oraz oszczędności domowych, które służąca stosować będzie we własnym domu.

Przyjęta do pracy, pozostaje dopóty, dopóki rodzice lub opiekunowie nie znajdą dla niej w rodzinnym mieście lub wiosce odpowiedniego męża. Wtedy żegna chlebodawców. Otrzymuje za wierną służbę od nich całkowitą wyprawę oraz komodę, która jest sprzętem nieodzownym.

Często Japonka idzie do pracy domowej po to, żeby zdobyć sobie wykształcenie. Za spełnianą pracę nie dostaje pieniędzy, lecz gospodyni ponosi koszty nauki: posyła ją do szkoły średniej, a potem do wyższej. Dla kobiet, pracujących w ciągu dnia, istnieją szkoły wieczorne średnie i wyższe.

Służba domowa ma swoje zrzeszenia i zakłady pośrednictwa pracy; jedne wspiera państwo, inne są przedsiębiorstwem jakiejś osoby czy towarzystwa. Zakłady państwowe żadnej opłaty nie pobierają ani od pracownicy, ani od chlebodawcy. Każdy taki zakład można poznać po granatowych jedwabnych chorągiewkach, umieszczonych przed wejściem i po tablicy z mnóstwem naklejonych kartek — zawiadomień o wolnych miejscach.



Gejsza — to przedstawicielka odrębnego świata kobiet japońskich, którego europejskim odpowiednikiem są częściowo tancerki w nocnych lokalach

Dziewczęta, przybywające ze wsi do stolicy w poszukiwaniu służby, zgłaszają się natychmiast do „Stowarzyszenia japońskich patriotek". Tutaj przyszła służąca otrzymuje 10-dniową naukę gospodarstwa domowego, a gdy ją odbędzie dostaje świadectwa pracy, jako młoda uczennica.

Czego uczą w owym stowarzyszeniu?

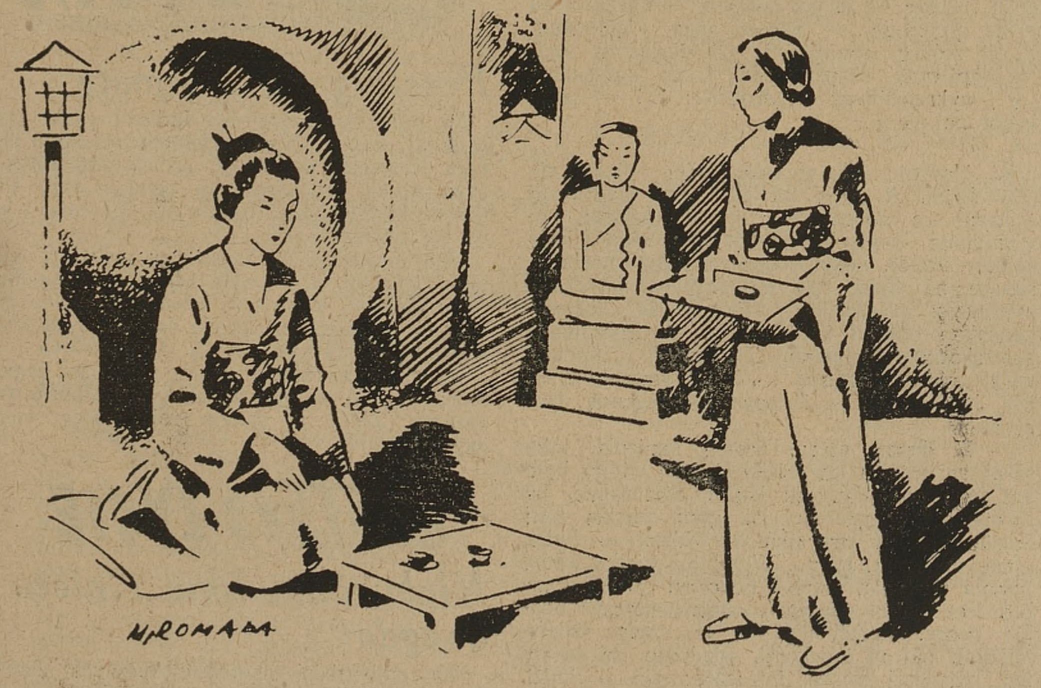
Otóż uczą ją gotowania, szycia, sprzątania, grzecznego zachowania się, oszczędności, nakrywania stołu, przyjmowania gości, gdyż Japończycy utrzymują mieszkania w niebywałej wprost czystości. Nie tylko domownicy, lecz nawet i goście przed wejściem do mieszkania zdejmują lub zmieniają obuwie.

„Stowarzyszenie japońskich patriotek" zaoszczędza gospodyni trudu wdrażania nieumiejętnej dziewczyny do porządków domowych i do gospodarstwa.

W stowarzyszeniu tym dają dziewczynie — w ciągu jej 10-dniowego pobytu — pokój z całodziennym utrzymaniem oraz odpowiednią naukę; wszystko to za nieznaczną opłatą.

Stowarzyszenie mieści się w ślicznym budynku, ma własną czytelnię, radio, wydaje gazetę, poświęconą sprawom pracowniczym.

Oprócz tej 10-dniowej szkoły jest jeszcze kilka innych szkół gospodarstwa domowego, gdzie nauka trwa po kilka miesięcy.



Służąca japońska otrzymuje w domu swej chlebodawczyni świetne przygotowanie do przyszłego prowadzenia własnego domu

DOBRA gospodyni

Co pani robi we wrześniu

Chcąc zaopatrzyć swoją spiżarnię, dbająca gospodyni musi już w tym miesiącu porobić przetwory z jabłek, śliwek, gruszek, borówek, rajskich jabłuszek, dereniu i pomidorów.

Z ogrodu i balkonu delikatniejsze rośliny przenieść do pokoju. Do doniczek przesadzić narcyzy, tulipany, przeznaczone do późniejszego pędzenia.

W kurniku: oczyścić (wybielić) i przedezynfekować kurnik. Zachowując czystość strzeżemy drób przez epidemicznymi chorobami. Drób przesortować i zbyteczne sztuki sprzedać, zostawiając na zimę sztuki wartościowe.

Znakomita surówka owocowa. 2 gruszki, 1 jabłko, banan, 15 dkg winogron sok z cytryny, cukier-puder z wanilią, pół szklanki śmietanki kremowej.

Gruszki i jabłka obrać, pokrajać w ćwiartki, potem w talarki, skropić sokiem z cytryny, posypać pudrem. Obrać banan, pokrajać również w talarki, gronka winogron przez pół, wymieszać wszystko razem, doprawić pudrem i sokiem z cytryny, przybrać ubitą śmietanką kremową. Podawać można z waflami, biszkoptami.

Galareta cytrynowa z winogronami. Pół litra wody, 3 łyżki cukru, z 3 cytryn sok, 2 dkg żelatyny, mniej niż pół szklanki gorącej wody i winogrona.

Wodę podgrzać z cukrem, aby się rozpuścił, ostudzić, wcisnąć sok z cytryn, dodać rozpuszczoną żelatynę, wymieszać i postawić do zastudzenia. Gdy zacznie tężeć, wrzucić gronka pokrajane, lub w całości.

Śliwki węgierki na sposób korniszonów. Ułożyć śliwki w kamiennym słoju, osobno zagotować soku cytrynowego lub octu z bobkowymi listkami, angielskim i gorzkim pieprzem, dodać imbiru, trochę osolić i ostudzić. Śliwki przełożyć gdzieniegdzie wiśniowymi listkami, zalać sokiem cytrynowym lub dobrym winnym octem, obwiązać i przechowywać w chłodnym miejscu. Można podawać do pieczystego, jak korniszony.

Pomidory solone, jak ogórki. Niedojrzałe pomidory zebrać przed mrozem, wymyć, układać do baryłki, lub słoja, przekładać liśćmi wiśniowymi i koprem, dodając na każdą warstwę ząb czosnku, kilka ziarn pieprzu, trochę kawałeczków chrzanu i zieloną paprykę. Gdy naczynie się wypełni, przycisnąć denkiem, wlać przegotowanej i wystudzonej wody, w której rozpuścić sól w ilości 3 dkg na jeden litr wody. Przechowywać jak ogórki. Są świetnym przysmakiem na zimę. Można je kwasić razem z ogórkami.

ALEKSANDER MONOZ

Rusałka znad Horynia

1.

...Lała się pieśń wolna i wysoka, jasna i dźwięczna, odbijała się o dzwoniące, szklane fale Horynia, pięknym łukiem niosła się nad rzeką, nad polami, łąkami, niknęła, płacząc się w kosmatych gąszczach lasu, rozpływając się i zamierając tam na słodkich, brzęczących harfach drzew...

Śpiewał młody, opalony letnim słońcem rybak... Śpiewał, jak wolny ptak, radosny i szczęśliwy, wyśpiewywał z duszy swą piękną, beztroską młodość...

„...Mknij łodzi naprzód po radosnych falach, mknij pełna wodnego srebra — srebrnych rybek, wśród lasów, łąk, nad tajemnymi głębinami cud-rzeki!... Prędko przybijemy do brzegu, będziemy tam, gdzie bogaci ludzie z miast rozbili swe letniska, staniemy na lądzie słonecznej Aleksandrii. Zamienimy jasne ciche srebro wodne na ich obłudnie brzęczące srebro ludzkie. Kupimy za nie korale dla pięknych dziewcząt, co korowodami błądzą nad Horyniem z pieśniami, a któraś z nich obdaruje za to koralowymi ustami z pieszczotą nową, ze słodyczą nieznaną — całusem horyńskim".

Pieśń lała się, jak pieśń beztroskiej, złotej młodości, jak pieśń wolnego, nieskrępowanego ducha... To pieśń wiecznie szczęśliwej młodości — beztroskiej, natchnionej i radosnej!

2.

...Słońce śmiało się w falach Horynia, na piasku plaży, na opalonych ciałach dwu kobiet, które leżały pod ogromnym kolorowym parasolem, oddając swe ciała pieszczocie Ognistego Żmija. Podmuch wiaterku doniósł dźwięk pieśni rybackiej, budzącej senną ciszę tej alkowy

horyńskiej... Pieśń ślizgała się po falach i wydawało się, że śpiewa sam Horyń.

— Co za melodia, co za metalowo-czysty głos! Naprawdę można by powiedzieć, że jesteśmy w raju, a śpiewa nam sam bożek Horynia — powiedziała starsza Wirginia.

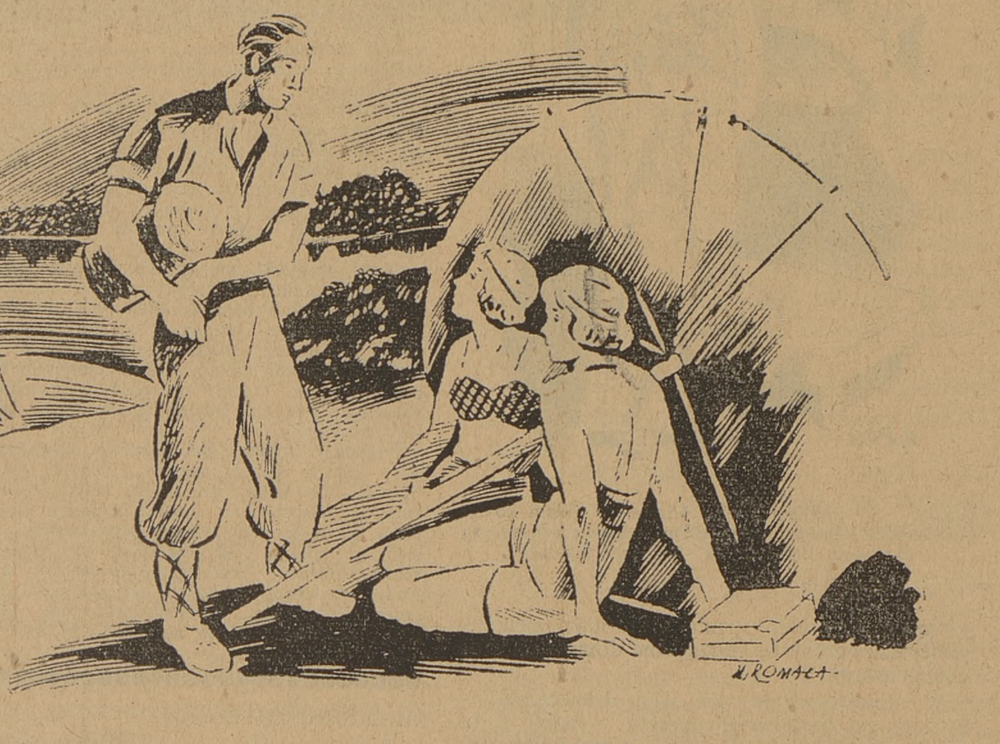
— Może i tak, — odpowiedziała słonecznie piękna Irena — ale czy nie uważasz, że jednak brakuje w tym raju najgłówniejszego... Adama?

Rozmowa toczyła się lekko i wartko.

— Och, figlarko, czy mało zatrułaś Adamów, czy mało zostawiłaś owoców nadgryzionych przed odwiecznego węża z rajskiej jabłoni miłości?... Czy nie od nich schowałaś się w tym głuchym zakątku?!...

Irena roześmiała się dźwięcznie.

— Och, grzesznam, winnam, ale czy był wśród nich bodaj jeden prawdziwy Adam? Nie. Wiesz, gdy wyjeżdżam gdzieś, ciągle żyję przeczuciem, że nareszcie spotkam w tajemniczej dali tego, jedynego, grzeznaczonego mi, wyśnionego... Adama... Obawiam się, że role odwrócą się wtedy, i nie ja, lecz on mnie skusi i uwiedzie...



— Ha, masz go — przerwała nagle śmiejąc się Wirginia. — Patrzaj, oto on, twój wyśniony Adam. Właśnie zamienił się rolą, i przyśpiewując, kusi cię, nadobna Ewo!

Z zakrętu Horynia wypłynął śpiewający rybak. Gdy zobaczył panie, umilkł. Panie przypatrywały mu się z ciekawością. Rybak podpłynął, złożył do kosza rybę i ruszył rytmicznym krokiem.

— Czy nie uważasz, że ten chłopak idealnie nadawałby się na Adama?... — dzieliły się kobiety wrażeniami, wpatrując się z ciekawością w zbliżającego się ogorzałego, smukłego rybaka.

— Naprawdę prawdziwy Apollo, porusza się w tej swej konopnej koszuli, jak w tunice greckiej. Zdaje się, że bogowie greccy flirtowali nawet i tu, bo skąd ten obraz niemal boskiej urody?!...

— Patrz na grę mięśni — mówiła z zachwytem Irena — na tę, jakby wyrzeźbioną z marmuru, mocną twarz, na te błyszczące oczy, na lśniącą biel perłowych zębów... Apollo ...w drugim wcieleniu...

— O matko przyrodo — westchnęła komicznie Wirginia — nie jesteś sprawiedliwa!... Po co rodzisz podobny skarb tu w kniei? Dla kogo, po co? A nam dajesz na mężów przygarbionych, bladych i zużytych fajtłapów...

Kobiety śmiały się. Odruchowo stroiły się w swą odwieczną broń, na słońcu biegały „zajączki" z lusterek, wionął puder, szminka... Mój Boże, czyż to szkodzi... wszak zbliżał się odwieczny odbiorca piękna kobiecego — mecenas mężczyzna!...

— Słuchajcie, rybaku! — zawołała wesoło Irena — pokażcie swą rybę... Rybak stanął, rozbłyskując uśmiechem. Zalewał panie ciepłem swych błyskających, jak klejnoty, ciemnogranatowych oczu, oprawionych misternie w czerń kłosistych rzęs. Był piękny jak pogański posążek. — Czy nie mówiłam — Apollo, prawdziwy bożek Horynia — pewne, że jej nie zrozumie — paplała Irena. — Jakie macie imię?

Po ogorzałej twarzy rybaka prześlizgnął się tajemniczy uśmiech, w oczach zapłonął wesoły ognik. — Panie przecież mówiły Apollo — odpowiedział — po naszemu znaczy Apolinar... Panie popatrzyły na siebie nieco skonsternowane. — Dobrze, rybę zabierzemy — odpowiedziała Irena siadając — opowiecie nam, jak je złapaliście, bo to jest ciekawe.

Rybak opowiadał, a dziewczęta nie odrywały odeń oczarowanych oczu. Tak rozpoczęła się znajomość...

3.

— Warto by jednak poflirtować z takim dzieckiem przyrody — mówiła beztrosko Irena Ciekawa jestem jak on reaguje, jak rozumie i przyjmuje miłość? Czy posiada jakie duchowe zainteresowania? Mówię ci, że warto spróbować.

— Och- niebezpiecznie — wyrzekła autorytatywnie Wirginia, zaciągając się papierosem — miłość nie jest wybredna, nie przebiera w środkach. Nie ręczę, czy nie stracisz głowy. — Ja stracę głowę?! — oburzyła się Irena pogardliwie wydymając ukarminowane usta. — Zbyt dużo nas dzieli, aby mogło się zdarzyć coś podobnego. Zresztą chociażby tak, pomyśl, jaki żywioł tchnie od tego chłopaka...

— No, uważaj! Bo cóż faktycznie dzieli nas od niego? Strój, sposób bycia, forma, inteligencja... Ale on może posiadać inteligencję mocniejszą, wprost kruszącą, bo wrodzoną, a myśl i duszę — że tak powiem — wyrzeźbioną przez przyrodę — więcej silną i głęboką... Ja ci mówię uważaj, nie odważyłabym się... Niebezpieczny eksperyment. Irena roześmiała się i wykrztusiwszy pogardliwie: Et! — pomknęła na plażę...

4.

W Horyniu jak w zwierciadle odbijał się cały świat. A może na jego dnie naprawdę schował się wodny świat i przez szklaną powierzchnię ciepłych, letnich fal widać było niebo, słońce, lasy i dwie ludzkie postacie, sunące na łódce, po elastycznych falach, z miarowym pluskaniem. Horyń, jak olbrzymi panoskop odbijał ich sylwetki w dziesiątkach groteskowych załamań. To rybak „Apollo" wiózł Irenę na wyspę — którą nazwała „Tahiti horyńską" — i opowiadał legendę Horynia.

— W dawne czasy, proszę panienki, mieszkał tu żmijaka tak wielki, że nie widno było ani jego początku, ani końca. Naturalnie, by wykarmić to ogromne, jak góra cielsko, żmij musiał pożerać wszystko co widział — ludzi, ptaki, zwierzęta, ryby... Wypił też wielką wodę, została pustynia, piach... Stworzył go nie Panbók lecz diabeł na złość, chcąc zniszczyć boskie twory. Przechodził w te czasy święty Mikołaj, patron ludzkości, wiadomo, że święty ten najwięcej kocha i troszczy się o ludzi tutejszych. I tu ludzie do niego ze skargą na żmija. — Dobrze, mówi święty Mikołaj. I momentalnie donosi Panboku, że zjawił się na ziemi żmij wielki jak góra, niszczy wszystko. — Zlituj się Panie, nad ludźmi, nie popuść diabłowi!... — Aha, dobrze — mówi Panbók — zaraz zrobię porządek. I wnet wydał postanowienie bez żadnych papierków urzędowych:

— Mówisz, że wielki jak góra? Ano, zaraz zrobimy go niższym niż ziemia... Wynagrodzi krzywdę ludzką, tam gdzie się zjawi wszystko rozkwitnie, głodnego nakarmi, pragnącego napoi, pustynię obróci w krainę błogosławioną. Tu Panbók dmuchnął i odrazu ziemia rozwarła się, w szczelinę zapadł żmijaka, a ciało jego obróciło się w wodę, która napełniła szczelinę. I tak, gdzie on leżał — pobiegła zygzakami rzeka, a że był ów żmijaka wielki, jak góra, nazwano rzekę „Horyniem". Oto tak opowiadają starzy, znający się na rzeczach ludzie...

5.

Kosmaty czarodziej Horyń coś zaklinał spienionymi ustami. Pędził, spiesząc kogoś dogonić, paplał tajemniczą nieznaną mową, usiłował coś komuś perswadować, kogoś zaklinać. Pachniał ostro — specyficznymi wodnymi zapachami, tak jakby w jego łożysku płynęła mocna nalewka, która naciągnęła z tysiąca aromatycznych ziół i kwiatów, kryjących się w jego wnętrzu — obracając wodę w aromatyczną, swoistą... wodę kolońską...

Tajemniczy był Horyń-żywy, i wydawało się nienasycony, jak ten legendarny żmij. Patrzył pożądliwie, zapraszając w swe przepastne głębiny, usłane kobiercami tajemniczych mchów i kwiatów. Z jego wnętrza wychodziły w noce letnie, kryjący się w przepysznych pałacach wodnych, rusałki i dziady wodne... Tańczyły i bawiły się z „lisowikami" (satyrami), co przychodzili z nadbrzeżnych lasów i ci z ludzi, co mają oczy „zaczarowane", często widzieli ich tajemne zabawy...

6.

Przyszedłeś z Horynia jak ten Żmij i chcesz pożreć moje serce. Jesteś mój i nie dla mnie. Och ty mój bożku horyński — piękny, jak zwierzę i czysty jak fale. Całuj mnie, niech uniosę stąd posmak całusa horyńskiego. Apollo patrzy na nią rozmodlonymi oczami — wydaje się mu ona białą lilią horyńską, pięknym, kruchym, wonnym kwiatem. — No mów, poganinie... Mówi... ...A może pani jest rusałka, co wyszła z Horynia i zaczarowała mnie biednego chłopca?... Zamiast ryby złapałem rusałkę. Nie mogę jeść, nie mogę pić, nie mogę nic robić — ciągle mi stoi przed oczyma pani...

(Dokończenie nastąpi).

ZE ŚWIATA

Przetarg na... armatę

W północno-zachodnich Indiach grozi nowy wybuch wojny między chanem Khrau i chanem Nawagai, którzy od szeregu lat toczą z sobą wojny co roku, przy czym z góry wiadomo, którego dnia rozpoczną się walki i kiedy się skończą.

Obaj potentaci muzułmańscy posiadają tylko stare strzelby, a w całym kraju istnieje tylko... jedna armata, która jest własnością chana Halimazai, najbliższego sąsiada dwu wojowniczych władców.

Na początku każdej wojny właściciel armaty wynajmuje ją na czas trwania walk temu z walczących, który w danym roku może więcej zapłacić.

ŚWIAT i ŻYCIE

Kluby angielskie i nieco anegdot

Do najbardziej charakterystycznych zjawisk życia angielskiego należą niewątpliwie liczne

i najddziwaczniejsze kluby. I tak — jedynie w Anglii znane są kluby: Uczestników Pojedynków, Klub 2-groszaków, Klub Szpetnych Ludzi, Klub Grubasów, Klub Wzdychających, Klub Gadulskich, Klub Włóczęgów, Klub Brudnych Koszul, Klub Piekielnego ognia i t. p.

BEFSZTYK POKONAŁ SZEKSPIRA

W roku 1790 powstały jednocześnie dwa kluby o przeciwnych kierunkach. Jeden „Zjadaczy Befsztyków“, którego członkowie gromadzili się raz w tygodniu, by nasycić się smakowicie przyrządzanymi kawałkami mięsa wołowego, drugi — o upodobaniach wręcz przeciwnych — „Miłośników literatury“, odbywający swe posiedzenie 2 razy w miesiącu, poświęcone czytaniu cenniejszych wyjątków z Szekspira, Miltona, Younga i t. d. Ciekawym jest, że podczas gdy klub pożeraczy befsztyków liczył w krótkim czasie 519 członków, zwolennicy pięknej literatury zdołali pozyskać zaledwie 29 członków. Befsztyk pokonał Szekspira, na szczęście w umysłach bardzo przeciętnych Anglików.

CNOTA NAGRODZONA

Pewien bogaty Anglik, poznawszy artystkę niezwykłej urody, zdziwił się wielce, gdy piękna kobieta odrzuciła najbardziej nęcące propozycje.

Z drogi uczciwej nie zejdę nawet za największe pieniądze — oświadczyła pewnego dnia zbyt natarczywemu bogaczowi. Nazajutrz otrzymała czek na 50 funtów i list tej treści: „Uznaję Pani zasadę, wyznaczam Jej rentę miesięczną w wysokości 50 funtów, z tym jednak, że o ile Pani zgodzi się zejść z drogi cnoty, przy czym zastrzegam sobie pierwszeństwo, sumę tę podniosę do 100 funtów“.

Oszczędzę Panu tak jednego, jak i drugiego wydatku — odpisała artystka, odsyłając bogaczowi czek. Jednocześnie zaskarżyła go do sądu, który natrętnego bogacza skazał na więzienie za obrazę czci kobiety.

LORD I POETA

Sławny poeta angielski Edmund Spencer przybył do lorda Sydney, by mu przedłożyć tom swych wierszy. Lord, nie znając poety polecił mu zaczekać w salonie i sam z wręczonym mu tomem wierszy udał się do swego gabinetu. W miarę czytania wzrastało zainteresowanie lorda młodym poetą, a dając mu konkretny wyraz, lord zawołał ochmistrza swego i polecił wypłacić poecie 50 funtów. Po chwili natrafiwszy na wiersz, który szczególnie mu się podobał, polecił wypłacić poecie jeszcze 100 funtów. Gdy ochmistrz spełnił polecenie, lord, który w międzyczasie natrafił na jeszcze piękniejszy wiersz, zawołał: „Proszę zatrzymać Spencera i dać mu jeszcze 150 funtów!“ A gdy ochmistrz zwlekał z wykonaniem polecenia, lord zaczytany wciąż w wręczonym mu tomiku, rzekł: „Daj mu pan jeszcze 200 funtów, ale proszę się spieszyć, inaczej może mi przyjść ochota podzielenia się ze Spencerem całym moim majątkiem!“

ANGLIA — TO CAŁY ŚWIAT

Podczas pobytu wybitnego angielskiego męża stanu Foxa w Paryżu oprowadzający go wyższy urzędnik ministerstwa spraw zagranicznych, wskazując na mapę świata, a ściślej — na wyspy brytyjskie, zagadnął dyplomatę angielskiego w dość niedyplomatyczny sposób:

— Jak się to dzieje, że tak mały kraj zdołał opanować pół świata?

Anglik odrzekł na to:

— Nasze wyspy — to tylko rodzaj przystanku, świat cały — to właściwie Anglia.

Szczep prześladowany przez fortunę

Najciężej przez fortunę doświadczony jest szczep Indian Siouxów w Ameryce. Około 1800 r. na terenach, zamieszkałych przez Siouxów, koloniści hiszpańscy odkryli bogate pokłady srebra. W największej tajemnicy przed Indianami przystąpiono do eksploatacji pokładów. Indianie jednak zwiedzieli się o skarbach i, wymordowawszy kolonistów hiszpańskich, zaczęli je eksploatować na własną rękę. Niedługo jednak trwało ich szczęście. Było to w tym czasie, gdy, według obowiązujących ustaw, wszystkie bogactwa naturalne należeć mogły tylko do rasy białej. Bogato obdarowanych przez fortunę Siouxów przeniesiono w pustynne prawie okolice Missouri. I tu nie minęło ich nieszczęście. W rok po osiedleniu się Siouxowie odkryli na nowych obszarach pokłady złota, które znów na mocy obowiązującego prawa przeszły na własność białych. Nieszczęsnych Siouxów, ściganych przez fortunę, przeniesiono do Oklohama. Nie opuściła fortuna swych wybrańców. Wkrótce Oklohama stała się sławnym na cały świat centrum naftowym. Było to już pod koniec XIX wieku. Dawne ustawy wydziedziczające czerwonoskórych zostały zniesione, niedobitki Siouxów mogły teraz sprzedawać tereny naftowe, nabywać akcje, prowadzić interesy. Ostatni Mohikanie tego szczepu stali się w krótkim czasie bogaczami i uczestnikami zdobyczy cywilizacji.

Zwierzęta wyczuwają katastrofę

Niejednokrotnie już zaobserwowano dziwne zachowanie się zwierząt w momentach bezpośrednio poprzedzających katastrofę. Również podczas ostatniego trzęsienia ziemi w Europie Zachodniej, które najsilniej odczuto w Belgii, zauważono bezpośrednio przed katastrofą silny niepokój u zwierząt. Dyrektor jednego z ogrodów zoologicznych w Belgii opowiada, że na kilka minut przed trzęsieniem ziemi lwy zaczęły niespokojnie biegać w swych klatkach, rycząc przeciągle. Ryk ten brzmiał inaczej niż zwykle. Można w nim było wyraźnie wyczuć jakiś lęk, chwilami nawet głos zwierząt przechodził w jakiś żałosny poryk. Również ostry krzyk pawi miał akcenty inne, trwożne. Nosorożce, bizony, antylopy, gazele i jelenie tuliły się trwożnie do ogrodzenia wybiegów, albo pędziły tajemniczym strachem gnane na oślep przed siebie. Dozorcy widząc dziwny niepokój zwierząt przybiegli, chcąc zbadać przyczynę tego zjawiska. Nagle odczuto wstrząsy ziemi. W tej chwili zwierzęta się uspokoiły. Rzecz charakterystyczna, że jedynie zwierzęta z rodziny kotów i przeżuwacze mają wyczucie zbliżającej się katastrofy. Małpy np. i niedźwiedzie zachowywały się zupełnie obojętnie.

W związku z tym pisma holenderskie przypominają zachowanie się zwierząt w czasie strasznej katastrofy, jaka w lecie 1925 roku dotknęła małą holenderską miejscowość Borculo. Wioska nawiedzona przez straszny orkan poruszona została w ciągu kilku minut przed katastrofą, gdy ani jeden poszum wiatru nie zapowiadał strasznego orkanu, dziwnym zachowaniem się krów. Zwierzęta żujące dotychczas spokojnie soczystą trawę nagle położyły się, rzecz charakterystyczna tyłem do kierunku wiatru, wciskając łby głęboko w trawę.

Pewien gospodarz tak opisuje zachowanie się swej kotki: „Zwierzątko leżało przy swoich kilkudniowych kociętach, nagle zerwało się i jedno po drugim wyniosło z domu na łąkę Podążyłem za nią. W tej chwili wicher powalił mnie na ziemię. Z chałupy mojej pozostały gruzy. Gdyby nie dziwny instynkt kota, który wywabił mnie z domu, byłbym pogrzebany pod gruzami domu“.

Cmentarzysko sprzed 2500 lat odkryto w „Szwajcarii Kaszubskiej“

Pod Somoninem, niedaleko Kartuz, w „Szwajcarii Kaszubskiej“, podczas prac ziemnych w pobliżu dworca kolejowego, robotnicy dokonali odkrycia cmentarzyska przedhistorycznego. Odkopany jeden z grobów zawierał 5 urn, z których trzy na skutek nieumiejętnego wydobywania uległy zniszczeniu. Na zarządzenie władz prace ziemne zostały wstrzymane, aż do przybycia konserwatora pomorskiego z Torunia. Z pobieżnych oględzin wynika, że ma się do czynienia z cmentarzem sprzed 2.500 lat. Pod wsią Kamienica Królewska natomiast prace wykopaliskowe kontynuuje muzeum z Gdyni dr. Krajewska, eksploatując cmentarzysko z epoki latyńskiej. Okolica Kamienicy Królewskiej pod Kartuzami jest znana z licznych wykopalisk przedhistorycznych.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. A. N. — Czarna Woda. Sprawę prenumeraty zleciliśmy naszej administracji, która załatwiła to już pozytywnie. List doręczono Wujkowi Januszowi. Pozdrawiamy Pana serdecznie.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Krzyżówka

ul. F. Gałecki, (czł. War. Kl. Szar.)

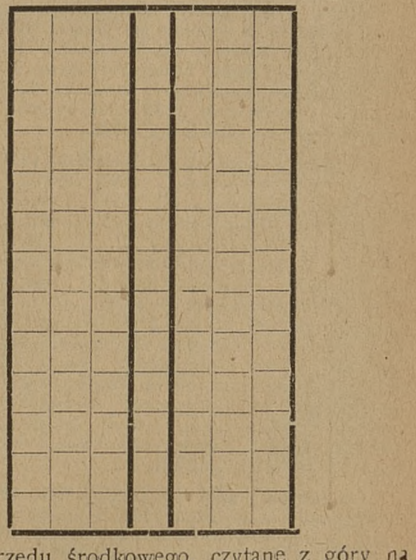


Wyrazy w kierunkach pionowym i poziomym są jednakowe, w określeniach pierwsza cyfra oznacza miejsce wyrazu poziomego, druga pionowego.

1. 1. Kawał lodu (wsp). 7. 2. Ukrop (wsp.) 9. 3. Pomieszczenie zajęte przez wojsko. 12. 4. Prezes rady ministrów. 16. 5. Lewy dopływ Renu. 18. 6. Cicho. 11. 10. Kościół katedralny. 17. 14. Okres dziejowy. 19. 15. Niewolnik, sługa. 4. 12. Część stroju, służy do ściągania i przytrzymania odzieży. 8. 13. Pierwsza liczba.

Logogryf

pod N. N.



Litery rzędu środkowego, czytane z góry na dół, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów

1) ptak egzotyczny
2) szczyt w Tatrach
3) baśniowe stworzenie wodne
4) środek kosmetyczny
5) inaczej bór
6) barbarzyńcy
8) polski mistrz śpiewu
7) choroba
9) kraj w Azji
10) główne miasto w państwie
11) wyspa w Europie
12) ubieganie się o pierwszeństwo
13) ciało niebieskie

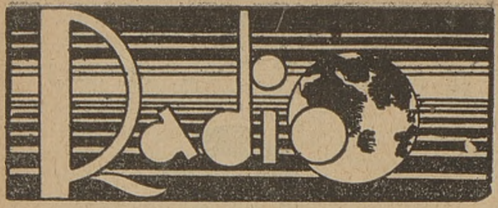
Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązanie należy nadsyłać do piątku, dn. 14 października br.

Rozwiązanie zadań z nr. 39 „Moich Pow.“: I. Logogryf: Lot do stratosfery. II. Bilety wizytowe: 1) Magnolia. 2) Pelargonia. 3) Fiołek alpejski.

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Rybicki Jan — Inowrocław, Michalczyk Zygmunt — Inowrocław, Janicki Alojzy — Warszawa, Śliwiński Czesław — Lwów, Wanda Golimunłowicz — Dukla i Stefan Podkalicz, Lwów — Wójtowska 4.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Rybickiemu z Inowrocławia i Śliwińskiemu ze Lwowa.



Niedziela, dnia 9 października 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Transmisja z uroczystości konsekracji kościoła ks. ks. Salezjanów z Dębnika 11.45 Program oświatowy w sezonie jesienno-zimowym omówi Henryk Mościcki, kierownik Wydz. Oświatowego P. R. 12.03 Poranek symfoniczny w wykonaniu ork. symf. Związku Muz. Chrześcijan 13.10 Muzyka obiadowa 14.40 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Koncert z Poznania (z ok. Tygodnia Muzyki Polskiej) 17.30 Podwieczorek przy mikrofonie z Bydgoszczy 19.30 Koncert londyńskiej ork. symfonicznei pod dyr. Thomasa Beechama 21.00 Koncert rozrywkowy w wyk. Małej Orkiestry P. R.

Poniedziałek, dnia 10 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 13.00 Pogadanki dla kupców i rzemieślników 13.30 Audycja muzyczna dla liceów 15.00 Słuchowisko dla młodzieży: „Ania znajduje przyjaciółkę" 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania 16.30 Audycja z okazji 125-ej rocznicy urodzin Verdiego 17.15 „Litwa współczesna" — reportaż 17.30 Recital śpiewaczy Tooni Kroon 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja strzelecka 19.00 Utwory kompozytorów polskich — wyk. F. Nowowiejski (organy) 19.30 Przemówienie Prymasa Polski ks. kardynała dr. A. Hlonda z okazji Tygodnia Miłosierdzia 19.40 Koncert popularny w wyk. Ork. Rozgł. Wileńskiej 21.00 „Afryka śpiewa" — audycja kameralna 22.00 „Dzieje Symfonii" — I audycja.

Wtorek, dnia 11 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 „Mam 13 lat" — powieść dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa 16.25 Utwory fortepianowe kompozytorów rosyjskich w wyk. Aleksandra Wielhorskiego 17.00 Z życia wielkiej uczonej Marii Skłodowskiej-Curie — odczyt 17.15 Duety kompozytorów polskich — koncert 17.30 „Z pieśnią po kraju" 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla robotników 19.00 Koncert rozrywkowy w wyk. Małej Orkiestry P. R. 21.00 „Najpiękniejsze kwartety i kwintety klasyków wiedeńskich" — koncert 22.10 „La favorita" — opera Donizetti'ego w skrócie (z płyt).

Środa, dnia 12 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 Audycja dla dzieci i młodzieży: „Nasz koncert" 15.30 Muzyka obiadowa w wyk. Małej Orkiestry P. R. 16.15 „Dom i szkoła": Momenty wychowawcze w nauczaniu — odczyt 16.30 „Sylwetki lutnistów staropolskich" — audycja słowno-muzyczna 17.00 „Józef Piłsudski w Magdeburgu" — odczyt 17.15 Koncert popularny w wyk. orkiestry Rozgłośni Wileńskiej 18.00 Audycja dla wsi 18.40 Dyskutujmy: „Szczęście jednostki dobro rodzinne czy interes współczesny?" 19.00 Melodie Lehara 21.00 Opowieść o Chopinie: „W domu rodziców" 21.45 „Złoty wiek poezji — audycja literacka 22.00 „Muzyka kameralna od Haydna do Ravela" — XVI audycja.

Czwartek, dnia 13 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Poranek muzyczny dla szkół powszechnych: „Mozart" 12.03 Audycja południowa 15.00 „Świat w kolorach" — pogadanka dla młodzieży 15.15 Kłopoty i rady: „Z ołówkiem w ręku" — dialog 15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa 16.15 „Rzemiosło i produkcja rzemieślnicza w Polsce" — odczyt dla młodzieży licealnej 16.35 Utwory fortepianowe Marii Szymanowskiej 17.15 „Serce Adama Asnyka w pieśni polskiej" z cyklu „Poezja natchnieniem muzyków" — koncert 18.00 Audycja dla młodzieży wiejskiej 18.30 „O tytułach utworów muzycznych" — gawęda 19.00 Koncert rozrywkowy w wykonaniu Małej Orkiestry P. R. 21.00 Rola Banku Polskiego w odbudowie gospodarki Państwa — pogadanka 21.10 Pochodnie wieków: „Karol Wielki" (audycja I.) 21.40 Koncert Orkiestry P. R. 23.00 Muzyka kameralna.

Piątek, dnia 14 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 „Na szerokim świecie" — audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Krakowa 16.30 Pieśni polskie w wykonaniu Heleny Hrabi-Szalkiewiczowej 17.00 Miniatury kameralne w wyk. kwartetu P. R. 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Teatr Wyobraźni: „Teoria Einsteina" — Cwojdzińskiego 19.30 Koncert rozrywkowy 21.00 Chór Polskiego Radia 21.15 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej 22.45 Muzyka z płyt.

Sobota, dnia 15 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 „Leśne rachuneczki" — słuchowisko dla dzieci 15.30 Muzyka obiadowa 16.30 Recital fortepianowy Zbigniewa Drzewieckiego 17.00 „Stare i nowe Chiny" — reportaż 17.20 „O dzieciach kompozytorach" — audycja muzyczna 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla Polaków za granicą 19.15 „Na wesoło" — koncert rozrywkowy z Krakowa 21.00 muzyka lekka i taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R. 23.15 Piosenki w wyk. Oli Obarskiej i Jerzego Lawiny 23.35 Muzyka taneczna z płyt.



JEDYNA RADA

— A więc ostatecznie jaką pan znajduje radę na cierpienie nerwowe mojego męża, panie doktorze?

— Państwo musicie oboje wyjechać?

— A dokąd, panie doktorze?

— Każde w innym kierunku.

CO CIEKAWSZE

Młoda kobieta przychodzi do wróżki, przepowiadającej z kart. „Wróżka" pyta:

— Pani życzyłaby sobie niewątpliwie dowiedzieć się czegoś o przyszłości swego przyszłego męża?

— E, wie pani, że nie... wolałabym dowiedzieć się czegoś o przeszłości mego teraźniejszego męża.

TESTAMENT TROCKIEGO

Trocki jest bardzo chory, czuje zbliżającą się śmierć i przystępuję do spisania testamentu.

— Sławę swą zapisuję Radzie Komisarzy, alkohol, w którym moja głowa zostanie przesłana do Moskwy, niech wypije Woroszyłow...

— A mózg? — pyta ktoś.

— Mózg dla Stalina, on mu się bardzo przyda.



Turysta do przewodnika:
— Dlaczego mnie pan tak opasuje? Czy pan myśli, że panu nie zapłacę i ucieknę?!

STARY RÓD

— Czy Poplamińscy, to istnieje taki stary ród?

— Bardzo stary. W ich galerii przodków wisi nawet jedna małpa.

ZNAWCZYNI

Na wystawie, przed pięknym portretem:

— Wspaniały obraz, mistrzu! a może mi pan powiedzieć nazwisko — krawcowej tej damy?

NA BALU

— Na zdrowie! W winie jest prawda.

— Tak, niestety. A prawdę tę usłyszymy, gdy przyjdziemy do domu.

PODOBNO...

...o procesie, jaki wytoczył Negus jednej z firm, handlujących kawą, mówią, że chce on po stracie całej czarnej Abisynii, pocieszyć się choć... pół czarną.

* *
*

... Niemcy, sudeccy są najlepszymi obywatelami Czechosłowacji, gdyż chcą zachować całość państwa w granicach... III Rzeszy.

* *
*

...podczas powitania powracającego z Ameryki A. Kolczyńskiego, jeden z licznie witających kolegów-gazeciarzy, złapał na ręce jego córeczkę i zaczął biec z okrzykiem:

— Dodatek nadzwyczajny!...

ICEK

— Icku, pocoś ty sobie kupił tę szczotkę?

— Nu, żeby czyścić ubranie.

— A na co ty kupił ten grzebień? Czy nie żal ci pieniędzy?

— Jakto na co? Żeby się czesać.

— A poco ci Icku to mydło?

— Co jest, będę się mył.

— Icku, Icku, przyznaj się, że chcesz się wychrzcić.

DOBRY APETYT

Pewien porucznik opowiada w kasynie o swym niezwykle łakomym ordynansie. Spostrzegając ogólną nieufność, zakłada się, że ordynans jego za jednym posiedzeniem zje całe cielę.

Zakład przyjęto. Sprowadzono cielę, zarżnięto je, kucharz porobił kotlety, zrazy, wątróbkę, nóżki itd. Wieczorem w kasynie zgromadzili się wszyscy obecni. Przy stole zasiadł ordynans i przystąpił do uczty.

Gdy skończył ostatni kotlet, wstał od stołu, przystąpił do porucznika i szepnął na ucho:

— Panie poruczniku, na Boga, niech już dają to cielę, bo obawiam się, że się nie zmieści.

TRZY PRZYCZYNY

Dwaj sąsiedzi spotykają się na jarmarku.

— Chodźcie, kumie na jednego — mówi pierwszy.

— Nie mogę.

— Dlaczego?

— Bo po pierwsze: wódka to wróg, po drugie — jestem chory i nie mogę pić, a po trzecie — już jestem urżnięty.

TO NIETRUDNO

— Bardzo mi przykro, ale ja daję posadę w moim biurze tylko żonatym.

— Phi, czy to tak trudno się ożenić. Może pan dyrektor ma córkę na wydaniu?

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4.50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.